



NR. 11

PODCHORAŻY

ORGAN
SZKÓŁ
PODCHO
RAŻYCH

ROK V

POCZTOWA KASA OSZCZĘDNOŚCI

OGLASZA NINIEJSZEM DLA WSZYSTKICH SZKÓŁ PODCHORAŻYCH
ZAWODOWYCH KONKURS NA NASTĘPUJĄCYCH WARUNKACH

Wśród Podchorążych, którzy wykażą się systematycznym odkładaniem oszczędności na książeczkę P. K. O. rozlosowane zostaną następujące nagrody indywidualne:

dwie	nagrody	po	zł.	100.—
pięć	nagród	" "	" "	50.—
dziesięć	" "	" "	" "	25.—

Szkole Podchorążych, która osiągnie najlepsze wyniki pod względem ilości książeczek oszczędnościowych P. K. O. i przeciętnego stanu oszczędności, przyznana zostanie do dyspozycji Pana Komendanta, proporcjonalnie do stanu osobowego Szkoły, nagroda w wysokości zł. 400.—.

Pozatem, w związku z audycją żołnierską, której termin podany zostanie oddzielnie, ogłoszony zostanie „Mały Konkurs” na rozwiązanie tematu: „Jak propagować będą oszczędność jako wychowawca żołnierza”.

Za najlepsze wypracowanie przyznane zostaną następujące nagrody:

dwie	po	zł.	50.—
osiem	" "	" "	25.—

Pierwsze dwie nagrodzone prace zostaną ogłoszone na łamach „Podchorążego.”

Panowie Podchorążowie, którzy nie posiadają książeczek oszczędnościowych P. K. O., a pragną wziąć udział w konkursie, nabyć mogą wspomniane książeczki w najbliższym Urzędzie Pocztowym.

Udział w losowaniu brać będą tę książeczki, które w czasie trwania konkursu, t. j. od m-ca marca do czerwca b. r. wykażą systematyczny wzrost wkładów.

Losowanie odbędzie się w pierwszej połowie m-ca czerwca b. r. w obecności przedstawiciela W. I. N. O. (M. S. Wojsk.).

Rozdania nagród dokonają delegaci P. K. O. w terminach uzgodnionych z Komendą Szkoły.

PREMJE

Redakcja „Podchorążego” przyznała następujące premje za zdjęcia zamieszczone w Nr. 9 i 10.

- a) w wysokości 5 zł.
 - 1) Urban („przy punkcie startowym”)
- b) w wysokości 4 zł.
 - 1) Łukawski („szkoła strzelca”)
 - 2) Łętowski („ostatnie instrukcje przed startem”)
- c) w wysokości 3 zł.
 - 1) Królicki („czar zimy”)
 - 2) Bukar („efektowne występki pocapstrzykowe”)

PODCHORAŻY

organ szkół podchorążych

Nr. 11 (84)

1 MARCA 1936 R.

ROK V



Zamaskowana czujka

O WARTOŚĆ IDEOWĄ ŻOŁNIERZY

Żyjemy w epoce, gdzie dwa pokolenia: stare — przedwojenne i młode dzisiejsze ustosunkowało się do siebie dość agresywnie. Jest to zresztą rzecz wytłomaczona. Stare pokolenie wychowane w niewoli, okute w powiciu żyje ciągle sentymentem wylanej krwi, echami walk, a świetlana przeszłość każe temu pokoleniu być dumnym i „lepszym“.

Młode pokolenie — do pokolenia, które mu wywalczyło wolność i niepodległość odnosiło się początkowo z wdzięcznością, szacunkiem i pewnym pietyzmem narodowym. Ale im odległość czasu się zwiększa, im echa walk niepodległościowych stają się cichsze — tem stosunek między pokoleniami staje się chłodniejszy. Z obydwu stron słychać narzekania: „tak mało warta jest dzisiejsza młodzież“ słyży się wypowiedane zdanie starszych. Młode pokolenie znów protestuje: „Dość grzebania w krwi i popiołach“ i t. p.

Główne nieporozumienie tkwi może w tem, że młode pokolenie zbyt jednostronnie przejęło wskazania Józefa Piłsudskiego o „wyscigu pracy“ i dlatego wszelki romantyzm i sentyment starego pokolenia stara się odruchowo przekreślić. Jednak co gorsza, że wspomniane wskazania zostają powoli parodjowane. Dziś prawie w każdym referacie, artykule, czy przemówieniu deklamuje się „wyscig pracy“ — ale czy stosuje się wartościowe idee w życiu?

Nic więc dziwnego, że wśród takich okoliczności i na takim tle — pogląd na wojsko, jako siłę militarną, wyszkoloną technicznie, zmechanizowaną i karną zewnętrznie musi ulec zmianie, bo to zakrawałoby na pewnego rodzaju krótkowzroczność. Dzisiejsze życie polityczne i społeczne w wielu objawach bardzo niezdrowe, musi wysunąć inny ideał żołnierza.

To jest rzecz wielkiej wagi, bo jeżeli dąży się obecnie do stworzenia pomostu między żołnierzem a cywilem celem nawiązania kontaktu pracy obywatelskiej i by to odniosło należyty skutek, należy żołnierza odpowiednio wychować. Mniemanie zakorzenione w społeczeństwie, że służba wojskowa to ta ciężka „niewola“, odrabianie pańszczyzny na rzecz zaborców, trzeba koniecznie wyplenić. Prosty żołnierz przynoszący ten chwast z domu musi być przez dowódców swoich przekonany i uświadomiony. I tu jest dla nas podchorążych, jako przyszłych dowódców, ważne spostrzeżenie.

Młode pokolenie pełniące obowiązek wojskowo-obywatelski nie może abstraho-

wać od starszej generacji i nastawiać się do niej kątowno, bo to powoduje zanikanie wśród niego, tak ważnej strony ideowej. Raczej właśnie żyjąc w tej szczęśliwej dobie, powinniśmy korzystać z rad i wskazówek tych ludzi, którzy wiele przeżyli, przecierpieli i doświadczyli, i od nich właśnie czerpać idee przewodnie patriotyzmu uświęcone życiem i krwią.

Niestety — słyży się często, że życie wojskowe powinno się traktować wyłącznie humorystycznie, że „pismo nasze powinno zawierać artykuły przede wszystkim pełne humoru, przedstawiające życie nasze tak, jak ono w rzeczywistości wygląda“. To pięknie. Humor, rozzwar, werwa młodego, wojskowego życia, to wszystko bardzo pięknie. Ale uderzmy się w piersi i powiedzmy: „czy to prawda“? Czy to życie jest naprawdę takie? Jeśli tryśnie jakiś strumień humoru, to naprawdę człowiek się raduje — jest lżej. Jeżeliby się nawet udało przeżyć wszystkie chwile z humorem, to czy możemy patrzeć, aż tak płytko, by sprowadzać całokształt tego życia, do wspólnego mianownika humoru?

Sztuczność, okłamywanie samych siebie musi się skończyć! Nie wolno zwłaszcza nam — młodzieży prześmiać sztucznie drogiej chwil wojskowego życia. Musimy więc, nietylko na wesoło brać to życie, ale i poważnie. Bo w przeważnej części, jaki jest żołnierz — taki będzie obywatel. Trzeba więc dać temu prostemu żołnierzowi z dalekiej kurnej chaty coś, co on ukocho, jakiś ideał, który mu wrośnie w serce.

Na nas, przyszłych dowódcach, ciąży ten obowiązek. Społeczeństwo czeka jak się z zadania wywiążemy? Koledzy! niech Was więc nie straszą idee, lub historyczne artykuły naszego pisma, nie bierzcie je, jako „gardłowo-papierkowy“ patriotyzm, tak obecnie modny, ale jako pewne spostrzeżenia, które niejednemu z Was się, napewno nasuwają.

Musimy wykazać tym, którzy z ironją na nas patrzą i tym, którzy wierzą w młode siły — czynem, że my Młodzi idziemy twardo w życie — ciężkim marszem piechoty i na zajętych placówkach stać będziemy po żołniersku. Stanie się to wówczas, jeżeli w ideale żołnierza będziemy szukać, nietylko wyszkolenia technicznego i walorów fizycznych, ale zwrócimy baczną uwagę na jego oblicze ideowe.



strzel. z cenz. St. Górski.

Lwów

ZAGADNIENIE BRONI W PRZYSZŁEJ WOJNIE

Od czasów, kiedy ludzkość iść zwykła przez wojny do zwycięstw narodów i armij — jednym z najbardziej decydujących o wyniku walki czynników stał się manewr i broń. Zapewne, że możnaby mówić o duchu żołnierza, jego zapale i męstwie, jako koniecznych elementach zwycięstwa, możnaby rzecz rozpatrywać z punktu widzenia dążeń i nastrojów społeczeństwa — ale zdaje się nam, że wszystkie te czynniki ogniskują się w postaci głównej, jaką w czasie wojennym jest zawsze wódz naczelny.

Historja Bonapartego wskazała, że bosi i głodny żołnierz może bitwy wygrywać — historja jego bratanka z 1871 r. nauczyła, że armja strojna w akselbanty może równie dobrze z pola walki uciekać.

Jak manewr jest istotą zasługi wielkich wodzów, tak broń staje się w naszych czasach w coraz wybitniejszym stopniu podstawą manewru i wogóle taktyki wojennej. Zdawałoby się, że wojny współczesne są z różnych względów raczej bezosobowe, gdy chodzi o postać wodza. Osobistość jego bowiem najlepiej uwypukla się w manewrze przestrzennym, w jakości i tężyznie żołnierza, który krwią swoją oplaca sławę wodza. Rozwój broni coraz bardziej uniezależnia nas od przestrzeni i napozór usuwa wyszkolenie białą bronią.

Każdy z nas, kto myśli o przyszłej wojnie — nietylko my prości żołnierze, ale i wielcy teoretycy wojskowi jednomyślnie wskazują na jej okropność z punktu widzenia broni. Byłoby jednak grubą przesadą twierdzić, że plany zwycięskich batalij wyjdą w przyszłości nie z polowego namiotu wodza, ale z naukowych pracowni i laboratoriów. Wojna jak długo jest wojną nigdy swojej zasadniczej cechy rywalizacji sił i zręczności nie zatraci.

Istnieje natomiast problem broni w swej naturalnej postaci, problem, który powinien być zrozumiały dla wszystkich — na tyle przynajmniej, ażeby nie rozbudzić nastrojów paniki, ale przeciwnie, ażeby dokoła siebie skupić należyty wysiłek narodu.

Współczesna sztuka wojenna uwikłała się w niezliczonej wprost ilości broni i gdyby organizacyjne jej zastosowanie szło równoległe z doskonaleniem broni — niełatwą byłaby synteza użycia jej w manewrze. Mimo to pozostanie dla naszych czasów zasadą, że najlepiej skonstruowany manewr może zawieść w obliczu nowozastosowanej przez nieprzyjaciela broni. Dowiodły tego doświadczenia ostatniej wojny (gaz i czołgi).

Broń jako atut strony wojennej występuje zatem w dwóch wypadkach: 1. Gdy działamy nieznaną dotąd bronią, stwarzając tem samym doskonałą formę zaskoczenia. 2. Gdy znanej broni nada-

W puszystym śniegu



fol. Dziubiński

jemy najskuteczniejszą w działaniu organizację. Jasnym jest, że z wartości jakie daje na wojnie dobra broń może korzystać naród bogaty, naród, który umie zdyscyplinować środki jakimi rozporządza.

Wynalazczość ludzka w dziedzinie broni objęła dotąd tak rozległą skalę, że musi być wielkiem dziełem taktyki i rozumu należyte zorganizowanie jej działania i ognia. Nie wiemy przecież czy nieprzyjaciel, z którym przyjdzie nam walczyć ukaże się jeszcze ze zwykłymi karabinami. Nie wiemy czy w jego szykach natarcia nie znajdą się wprost całe kolumny karabinów maszynowych.

Broń zmienia przede wszystkim charakter wojny. Posługując się nią w powietrzu i na ziemi — na wodzie i pod wodą nieprzyjaciel osiąga nieby-

fol. Opyrchal

„Opl“



wały zasięg zniszczenia, wobec którego kultura nasza jest bezradna. W jakim sposobie Francuzi mogą uchronić kamienie Paryża przed pociskami wyrzucanymi z Essen? Jedyne mądrością będzie wzajemne wyniszczanie się i w tym znaczeniu przyszłe wojny decydować będą nie tylko o życiu żołnierza frontowego ale i o rodzinie, którą pozostawił, — decydować będą o losach całego narodu.

Opinia społeczeństw nastawiona jest na okropność przyszłej wojny. Przedwczesne nastroje paniki czy bezradności — zjawiska tak niepożądanego w każdej wojnie — nie są zupełnie słuszne. Jak umysł ludzki wysiłił się w doskonaleniu środków walki, tak samo przygotował środki obrony. Każdemu więc, kto będzie nas straszyć gazem prosty żołnierz wyliczy mnóstwo warunków skutecznego działania gazów. Gdy ktoś znowu trwożyć się będzie widmem ataku lotniczego na nasze ośrodki decyzji państwo-

W O L N O Ś Ć ?

(artykuł dyskusyjny)

Nie wiem co pomyślicie o mnie. Wy wszyscy koledzy, którzy siedzicie w tej chwili tak jak ja w ciężkich, koszarowych ławach i tak jak ja pochylacie ostrzyżone głowy nad numerem pisma, które nosi Wasze wspólne nazwisko. Pewnie powiecie, że to jest niewczesny kawał, że to... jakiegoś bubkowi przypomniały się szczeniące lata... ideologiczno-frazeologiczne artykuły młodzieżowych pisemek i te wszystkie akademickie dyskusje... A jednak zdecydowałem się napisać dyskusyjny artykuł i to artykuł o kwestji zasadniczej. O kwestji tych naszych głów podgolonych i tych naszych, wyrównanych pod sznurek do prawego, postaci i całego tego naszego skoszarowanego życia. Bo przecież — jesteśmy żołnierzami — przysięgaliśmy na wierność Ojczyźnie. Co to jest żołnierz i obywatel?

Kiedyś, kiedy byłem małym Jasiem, deklamowałem taki wierszyk: „Kto ty jesteś? — Polak mały. Jaki znak twój? — Orzeł biały. Gdzie ty mieszkasz? — Między swemi. W jakim kraju? — W polskiej ziemi”. Jak tam były dalej — nie pamiętam, ale wierszyk nie jest bynajmniej naiwny, ani pozbawiony głębszej treści. Zastanówcie się nad nim „młodzi ludzie”... Ja też długo nad nim myślałem.

Jestem już nie mały, a duży Polak, a orła białego noszę na czapce tak wysoko, jak tylko mi na to pozwala moja, średniego wzrostu, umundurowana figura. No... mieszkam to ja tam — mieszkalem nie tyle między swemi, ile między „naszemi”, ale o to mniejsza. Dzisiaj mieszkam między swemi, a ziemia, po której pracowicie wybijam umęczonymi piętami znany takt codziennej i wiecznej tej samej piosen-

wej, to odpowiemy, że nieprzyjacielski płatowiec nie łatwo ominie pajęczynę rozpiętą balonami nad stolicą.

Potęga postępu już dawno zesunęła pałasz i bagnet z dawnych ich piedestałów wyższości. Choć na horyzoncie przyszłej wojny ukazują się coraz to potworniejsze środki walki, to jednak odwaga i męstwo żołnierza swojego znaczenia nie utraciły.

I chociażby genjusz ludzki zdołał tylko z chaosu, jaki się szykuje na przyszłość wynieść broń skuteczniejszą od znanych rodzajów i zorganizować swoją armję tą bronią w niezwykłe kolumny — napewno nie mniejszą będzie miał zasługę, niż wielcy zdobywcy przeszłości, którzy swojemi zwycięstwami kreśliли szlaki przez kraje i kontynenty globu.

Strz. z cenz. e. k.

Tarnopol.

ki — o, ziemia ta jest rdzennie polska, marmurska.

To wszystko jest jasne i proste. Chodzi o to zasadnicze pytanie, którego niema w wierszyku, ale które stanowi jego treść istotną. Co to jest obywatel? Co znaczy to dziwne słowo, które stworzył niewiadomo kto i niewiadomo jak dawno, a które do takiej powagi podnieśli rzymscy senatorowie? Dlaczego, chcąc uczcić głowę swego państwa, dali mu tytuł princeps civium, a nie princeps hominum? Dlaczego znaczy to coś więcej nawet niż sam wyraz człowiek? Coś, jakby pełniejszego, precyzyjniej wykończonego...

A obywatel, to przede wszystkim żołnierz — zastanówcie się nad tem „młodzi ludzie”... Kiedyś, w okresie tej pierwszej młodości, która dzisiaj dla nas się kończy, mieliśmy wszyscy prawie okresy refleksyj, kiedy śniliśmy sny o przebudowie porządku świata — rewolucyjne, bujne myśli. I wtedy przyświecał nam zawsze ten jeden wielki cel — wolność człowieka. Konopnicka, Żegadłowicz, „człowiek bez miana”...

Baliśmy się tego słowa — obywatel — słowa twardego, przywołanego gromadą obowiązków. Dzisiaj spełniamy pierwszy z tych obowiązków. Dlaczego kazano nam zapomnieć o tamtej własnej, o tamtej młodzieńczej wolności? Nie jesteśmy ludźmi wolnymi, bo chcąc postępować tak, jak nam się podoba, natknijemy się co krok na obowiązki, które musielibyśmy łamać lub omijać.

„Najbardziej wolnym jest niewolnik (Stpiczyński) bo, ulegając gwałtowi i przemocy, nie jest niczem wobec nich zobowiązany”...

Odwieczny problem walki. Wędrowka ludów, Weltkrieg, Abisynja. Ludzie z samolotów rzucają bomby na głowy ludzi, chodzących po ziemi, w imię obywatelskiego obowiązku. Czyż życie obywatela nie jest paradoksem? Przecież żaden z nas niewolnikiem być nie pragnie. Z radością i ochotą spełniamy swoje obowiązki — z dumą wymawiamy to twarde, ważne słowo — obywatel.

A z drugiej strony tak ciężko nam się rozstać z naszemi młodzieńczemi rojeniami — wspominamy je zawsze z sentymentem. Której nam potrzeba wolności? Jak mamy ją rozumieć?

Jesteśmy w tym niebezpiecznym okresie życia, kiedy trafiają nam do przekonania hasła wszelkiego

rodzaju i najsprzeczniesze ideologie. Za rok niepełna zdejmujemy mundur, aby zapelnic aule uniwersyteckie. Dumną, sztywną czapkę z białym orłem zamienimy... na skromną czapkę bratniacką. A życie akademickie to kuźnia światopoglądów. Spotkamy się z różnymi ludźmi i hasłami. Trzeba, abyśmy przyszli tam odpowiednio przygotowani. Trzeba się nauczyć stanąć na mocnym obywatelskim stanowisku.

Młodzi Podchorążowie — odpowiedzcie mi na pytanie — co to jest wolność?

Strz. z cenz. J. Krommenau,

K. P. R. Skierniewice.

PSYCHOLOGJA WALCZĄCEGO ŻOŁNIERZA

ŻOŁNIERZ W WALCE

(Ciąg dalszy)

Przychodzi wreszcie okres walki. Walka rozpoczyna się albo niespodziewanie dla obu lub jednej ze stron i wtedy nazywa się zaskoczeniem, albo zgóry uplanowana i przeprowadzona i wtedy będzie walką planową.

Oddział zaskoczony zawsze czuje się gorzej niż ten, który zaskoczenie powoduje. Pierwszy moment zaskoczenia jest najgroźniejszy, gdyż powoduje osłupienie zaskoczonego, z czego przeciwnik skwapliwie korzysta. Żołnierz wychowany dobrze — odważny — będąc zaskoczonym reaguje natychmiast bagnetem, granatem, kolbą lub strzałami i walczy skutecznie. Żołnierz nieobyty, tchórzliwy — może stracić zupełnie orjentację i poddać się lub zginąć.

Dlatego też już w czasach pokojowych w ćwiczeniach musimy wprowadzać żołnierza w sytuacje podobne jakie go mogą spotkać na wojnie.

Po pierwszym momencie osłupienia zjawia się reakcja, którą może być rozpaczliwa, często skuteczna walka, albo też panika i ucieczka. Wiele tutaj zależy od dowódcy i wychowania żołnierzy.

Walka zamierzona będzie polegać na świadomym wejściu w bój, gdy żołnierz zawczasu będzie oczekiwał lub poszukiwał nieprzyjaciela. W pierwszym wypadku będzie to obrona w wypadku drugim — natarcie. Mogą być jeszcze fazy przejściowe mianowicie odpowiednik obrony — odwrót i odpowiednik natarcia — pościg.

Postarajmy się zgrubsza przynajmniej rozpatrzyć co się dzieje z żołnierzem w obronie, odwrocie oraz natarciu i pościgu.

a) Żołnierz w obronie i odwrocie. Do obrony żołnierz przechodzi; 1) bezpośrednio w obliczu nieprzyjaciela po walce zaczepnej lub odwrotowej —

W natarciu



przyczem w pierwszym wypadku jest pełen ducha zaczepnego i dumy ze zwycięstwa, w wypadku drugim bywa przygnębiony, osłabły na duchu i zdobyć się na wysiłek może tylko pod wpływem silnych bodźców patriotycznych lub wpływu dowództwa. Wymaga się tutaj wojska o dużej sile moralnej.

2) na parę dni przed nadejściem nieprzyjaciela żołnierz przygotowuje pozycję obronną, aby potem skutecznie bronić się na tej pozycji, przyczem prace te są przesłonięte odpowiednimi ubezpieczeniami. W tym wypadku żołnierz zajęty pracą w terenie — nie ma czasu na namysł i rozumowanie, i czuje się zupełnie dobrze.

W takim rodzaju obrony żołnierz zawczasu przewiduje kierunki z jakich pojawi się przeciwnik, ustala plan zwalczania posuwającego się nieprzyjaciela, sposoby walki i t. p. Dobry nastrój żołnierza — mogą zepsuć ewentualne podszepty agitatorów wroga — podsuwające żołnierzowi myśl o zbyt wielkiej przewadze nieprzyjaciela i niemożności obrony przed nim. Dla tego też pożądane jest odgrozienie żołnierza od wszelkiej wrogiej agitacji.

Przygotowawszy teren żołnierz pełni w nim służbę obserwacyjno alarmową, podsłuchową lub patrolową, albo odpoczywa, czekając na przybycie i natarcie nieprzyjaciela.

Silne wrażenie wywiera na żołnierza w obronie noc, zwłaszcza ciemna. Samotność i niemal bezsilność powodują nastrój niepewny, bojaźliwy i wymagają ciągłej kontroli ze strony dowódców, która jak już powiedzieliśmy — podnosi na duchu żołnierza. Z westchnieniem ulgi wita żołnierz dzień, który jest jego sprzymierzeńcem w obronie, której siłą zasadniczą jest przecież ogień.

Oczekiwanie natarcia nieprzyjaciela jest bardzo wyczerpujące i szczególnie dla dowódców ciężkie

Rozpoczyna się jednak walka. Nieprzyjaciel zajmuje swoją podstawę wyjściową. Pierwsze jego pociski artyleryjskie świszcząc padają w rejon obrońcy. Zaczynają grać ciężkie karabiny maszynowe, Patrole nieprzyjaciela prowadzą intensywny wywiad, podchodząc niemal pod same okopy obrony. Żołnierz pragnąłby użyć broni, bić wroga, który w jego oczach rośnie do potęgi. Tymczasem — rozkaz brzmi wyraźnie: — „ogień wolno otworzyć tylko na rozkaz”. Rozkazu jednak niema. Sytuacja staje się naprężona. Żołnierz denerwuje i niepokoje się coraz więcej.

Wreszcie odzywa się własna artylerja, bijąc nieprzyjaciela na jego podstawie wyjściowej. Odzywają się też ciężkie karabiny maszynowe ustawione do ognia dalekich. W serce żołnierzy wstępuje otucha: nie damy się, zbijemy wroga. Spokój opanowuje leżących lub stojących w okopach żołnierzy.

Kilka słów dowódcy, jego spokój i opanowanie to zbawienne środki, wprowadzające żołnierza



Podstawa wyjściowa

fol. Frontczak

nawet w dobry humor. W tym okresie żołnierze bardzo chętnie idą na ochotnika na wypadki lub patrole celem zniesienia zwiadów nieprzyjacielskich. Energja żołnierza staje się pełna.

Nieprzyjaciel jednak przygotował się, zdobył potrzebne mu wiadomości i rozpoczyna natarcie, które często poprzedza silnym przygotowaniem ogniewem. Deszcz ognia, huk i świst pocisków działa silnie na ducha obrońcy. Żołnierz zatracza na chwilę spokój: widzi lecącą śmierć. Kryje się w rowie strzeleckim, niechętnie wysuwa się na wierzch. Korzysta z tego nieprzyjaciel i rusza do natarcia. Masy jego sił opuszczają podstawę wyjściową. Obserwatorzy obrony spostrzegają ten ruch. Ich meldunki elektryzują całą linię obronną. Żołnierz zapomina o niebezpieczeństwie pocisków patrzy na wroga żywego i pragnąłby użyć swej broni, aby go zniszczyć. Odległość jednak daleka. Z broni ręcznej nie warto strzelać, nawet niewolno tego robić, aby nie zdradzić swego stanowiska. To też rozkazu do rozpoczęcia ognia brak — żołnierz denerwuje się coraz bardziej i ma wielką chęć użyć broni. Zaczyna zastanawiać się nad tem czy dowódcy nie popełniają błędów, lub nie zaniedbują się. Tylko wielkie zaufanie do przełożonych, które jest na wojnie konieczne, powstrzymuje żołnierza od rozpoczęcia ognia na własną rękę.

Tymczasem pociski nieprzyjaciela dosięgają do obrońcy. Przeciwnik się zbliża. Działa swoim ogniem. Widocznie jest silny. Czy damy radę obronić się? Niepokój wzrasta. Żołnierz ogląda się i szuka kolegów. Tych w obronie jest zazwyczaj mało. Odczuwa więc uczucie osamotnienia. Nawet strachu. Ale teraz właśnie rozpoczynają grać własne karabiny maszynowe, ogniem skutecznym. Fale nacierającego przeciwnika załamują się. Energja nieprzyjaciela słabnie. To podnosi na duchu obrońców. Śmiało patrzą na skutki działania własnego ognia. Nabierają otuchy. A cóż dopiero będzie gdy my

użyjemy swej broni! — myśli sobie niejeden z żołnierzy. Duch obrońcy poprawił się. Czekają on śmiało dalszych wypadków.

Ogień nacierającego wzmagają się. Nakrywa strzelające karabiny maszynowe, nawet zmusza je do milczenia i zaczyna dalszy ruch. Artylerja jego wali po okopach obrońcy. Pociski gazowe zmuszają go do założenia maski. W jednej chwili dobry nastrój pryska. Żołnierz widzi mniej w masce, traci na moment kontakt z przedpojem — nie wie co robi nieprzyjaciel i spodziewa się po nim wszystkiego. Oddech w maskach trudniejszy celowość broni mniejsza — odczuwa to żołnierz i niepokoje się. Szuka oparcia w kolegach i dowódcy. Ci przeżywają to samo.

Następuje moment ciężki — trudny psychicznie. Nacierający posuwa się naprzód. Groza. Jest jednak i na to rada. Artylerja obrońcy wstrzelana zawczasu rozwija silny ogień, bardzo skuteczny. Zadaje nacierającemu straty.

Groźne dla obrońcy położenie minęło. Żołnierze nabierają otuchy. Ich płuca przyzwyczały się już do oddechu w masce. Mogą obserwować teren. Zbliżającego się nieprzyjaciela biją ciężkie i lekkie karabiny maszynowe obrony. Nareszcie nieprzyjaciel wszedł na linię ognia karabinów ręcznych. Zbliża się coraz bardziej. Żołnierze obrony widzą ten ruch. Czekają w napięciu rozkazu do otwarcia ognia.

W tem rozkaz: „cel tyraljerka nawprost — celownik 400 — ogień pojedynczy — ognia! Podnieca żołnierzy. Zaczynają i prowadzą ogień. Ogień ten musi być skuteczny. Każdy żołnierz nie bacząc na niebezpieczeństwo wychyla się nawet, aby lepiej celować. Natarcie słabnie. Nieprzyjaciel zatrzymuje się — część jego strzelców naciera lub strzela, część okopuje się. Ruch bardzo wolny. To podnieca obronę. Ogień coraz celniejszy. Żołnierz czuje



W zimowym marszu

fol. Brzeski

swoją przewagę. Strzały gęste i celne — to dewiza piechura. Duch obrońcy silny. Wiara jego w swą broń olbrzymia. Oho! — nie łatwo złamać żołnierza. Kpi on sobie z wroga i wali ile tylko wlezie. Na całej linii gęste strzały.

Nacierający jednak nie daje za wygraną. Ma swoje ciężkie karabiny maszynowe i artylerję. Widzi teraz linię strzelców obrony. Szybko orientuje się i kieruje na nich ogień. Początkowo mniej celny stopniowo staje się bardzo skuteczny. Coraz więcej strat w obronie. Żołnierz czuje się niebezpiecznie. Kryje się przed pociskami. Celność jego ognia zmniejsza się. Strzały są — prowadzone bywają chaotyczne. To podnieca nacierających — rzucają się wprzód. Skok za skokiem, aby bliżej. Obrońca — niema teraz sił do zatrzymania nieprzyjaciela. Nakrył on źródła ognia obrony swoim silnym — przeważającym ogniem. Idzie. Zbliży się do odległości szturmowej. Osiągnął ją. Prze dalej. Do szturmu.

Chwile dla obrońców ciężkie. Strzelcy widzą dużą ilość wroga. Ich zaś nie wiele. Obsada rzadka. Czy damy radę jeśli uderzą na bagnety? Nieprzyjaciel zaś korzysta z tego osłupienia obrony. Rusza do szturmu. Podrywa się... W tem jak burza podcięty pada pod gradem pocisków broni ciężkiej przeciwstrumowej. Ustawiona do ognia płaskiego — razi nawet leżących. Straty natarcia olbrzymie — rozpęd wstrzymany.

Obrońca nabiera ducha: są więc sposoby na wroga. Niech spróbuje iść dalej — my już mu pokazemy! Strzelcy obrony nakładają bagnety na broń. Przygotowują granaty ręczne obronne. Czekają na dalszy ruch przerzedzonego już nieprzyjaciela. Ten się rusza ale powoli i drobnymi skokami. Zbiera się jednak i — jeśli ma dużo energii — wykonywa ponownie szturm — witany ogniem broni maszynowej i granatów. Spokój obrony łamie — natarcie — następuje zatrzymanie i okopanie się nieprzyjaciela.

Rozpoczyna się walka na bliskiej odległości. Obie strony niepewne siebie. Zbliża się noc. Czat bojowe. Żołnierz z bagnetem na broni pod grozą napadu. Patrole krążą. Tu i ówdzie strzelanina. Krzyki hurra! hurra! — wprowadzają nerwowy nastrój. Jednak powoli ucisza się linja. Żołnierz czuje głód i zmęczenie. Oczekuje posiłku, który mu pod osłoną ciemności zostaje doniesiony. Po spożyciu zasypia i odpoczywa z bronią w ręku. Tymczasem przeciwnik szykuje natarcie, o świcie. Meldują

o tem zwiady. Trzeba czuwać. Wszyscy na swoich miejscach. Ciemność utrudnia obserwację. Słuch — to jedyny środek wykrycia ruchu przeciwnika. Serca żołnierzy biją mocno. Karabin, granat, łopatką w pogotowiu. Za chwilę może być walka wręcz. Tu nawet na strach nie ma miejsca — tu chodzi o to aby być gotowym do walki. Napężenie wzrasta. Minuty wydają się wiecznością. W ciszy skronie pulsują jakby młoty bily. To jest niepokój przed decydującą walką.

Wtem... następuje gwałtowny ogień nieprzyjaciela. Jego gęste tyraljery wychodzą do szturm. Zdaje się, że obrońca zginie, zasypyany ogniem i żelazem skłuty bagnietami. Fala szturmujących zbliża się już jest tuż, tuż... Lecz znowu trąkocze karabin maszynowy, znowu staje na miejscu żołnierz, odbezpiecza i rzuca granaty, lub strzela z karabina. Nie ma czasu na namysł. Duch bojowy wzmagą się do najwyższego stopnia. Zginąć lub zwyciężyć, a nie cofnąć się — to hasło na ustach obrońcy.

Następuje starcie wręcz — nacierający łamie pierwszy rzut obronny — wdziera się w pozycję obrony. Resztki jej walczą do ostatniej kropli krwi — giną, ale nie ustępują. To są żołnierze — lwy. Za chwilę przeciwuderzenie wyrzuca wroga. Linja obrony zostaje odzyskana. Walka wre dalej z podobnym do poprzedniego przebiegiem. Tak bywa gdy żołnierz obrońcy jest silny duchem i dobrze jest dowodzony. Wzmacnia się on po takiej walce moralnie i gotów jest nawet do natarcia.

gorzej jest, gdy żołnierz osłabł moralnie — nie wytrzyma natarcia i szturm nieprzyjaciela — wycofa się i rozpocznie odwrót. Napór ścigającego nieprzyjaciela, który teraz, nabiera energii i rozpędu,

nie pozwala cofającemu „chwycić się za teren” i na nowo zorganizować obronę. Zmęczenie i ciągła groza działania nieprzyjaciela wyczerpują ducha żołnierzy tak że trudno jest im zdobyć się na walkę. W takich wypadkach żołnierze cofający się muszą być wsparci oddziałami silnymi duchem, lub porwani przez specjalnie lubianego — bohaterkiego dowódcę. W przeciwnym razie nie zdobędą się na opór, nie stawia czoła natarciu. Tak bywa gdy odwrót zostanie *wymuszonym* na słabym moralnie lub kiepsko wyszkolonym żołnierzu.

Inaczej się przedstawia sprawa jeśli odwrót jest planowy, o którym zgóry wiedzą żołnierze. Wtedy niema nerwowego nastroju, owszem jest wielka chęć wciągnięcia nacierającego w zasadzkę. Duch żołnierzy jest silny, jeśli tylko mają zaufanie do swoich przełożonych i dowódców. Tutaj wyłania się kwestja silnej dyscypliny — gdyż żołnierz łatwo wyłamuje się z rąk dowódcy i zaczyna działać na własną rękę. Dowódca musi twardo prowadzić swój oddział, aby go móc w każdej chwili przeciwstawić wrogowi. W słabych rękach — nawet dobry żołnierz „rozlezie” się pod względem karność i traci wartość.

Tak można sobie wyobrazić przebieg walki i jej działania na żołnierzy w obronie, lub odwrocie. W każdym wypadku widzimy, że energia i samopoczucie żołnierza stale ulega wahaniom zależnym od zmian jakie na polu walki zachodzą. Dowódca od którego — jak widzieliśmy dużo zależy i to dowódca młodszy bezpośrednio żołnierzem dowodzący — musi wiedzieć kiedy i w jakim momencie przyjść żołnierzowi z moralną pomocą, musi pamiętać, że często jego kilka słów mogą wywrzeć skutek zbawienny.

BAŁAMUCTWA W SKALI „WSZECHŚWIATOWEJ”

Zamieszczony w numerze 9 „Podchorążego” artykuł „Człowiek a wszechświat” wywołał ożywione echa. W myśl zasady „audiatu et altera pars” drukujemy uwagi, polemizujące z wywodami autora zaznaczając, jednak, że poglądy w nich zawarte nie są stanowiskiem Redakcji lecz wyłącznie autora. (Red).

Mozna z całą pewnością twierdzić, że wielu spośród licznych czytelników „Podchorążego” żywo się interesuje zamieszczanymi na łamach pisma artykułami treści ogólnej.

Poruszanie t. zw. „tematów oderwanych”, niekoniecznie związanych z zagadnieniami wojskowymi, spotyka się naogół z pełnym uznaniem i w dużej mierze przyczynia się do urozmaicenia treści pisma.

Sądzymy, iż zbyt często byliby podkreślanie na tem miejscu, że zrozumiała hierarchja tematów

idzie w parze z nieodzownym podwyższeniem kryterjów oceny. Inna będzie pełna pobłażliwej wyrozumiałości postawa krytyczna w stosunku do bezpretensjonalnego feljetonu — kroniki z życia koszarowego — niż do poważnego artykułu, noszącego cechy przemyślenia. *Noblesse oblige...*

Powinni to doskonale zrozumieć autorzy publikacji na „poważniejsze” tematy, jeśli się chcą uchronić od nieprzyjemnych następstw w postaci ostrej lecz uzasadnionej krytyki, obnażającej wszelkie niedociągnięcia, przejawy dyletantyzmu i niedopuszczalne ułatwienia myślowe.

Nie wyobrażamy sobie, że czytelnicy „Podchorążego” są tak chemicznie wyprani z wszelkich przejawów krytycznego myślenia, aby mogli przyjmować „na wiarę” to wszystko, co pragnie w nich

wmówić autor tego czy innego artykułu o podkładzie „ideowym”.

Zresztą gdybyśmy mieli do czynienia z wytrawnym dialektykiem, operującym zwartym zespołem logicznych „żelaznych” argumentów, odsłaniającym przed naszymi oczyma nowe horyzonty i ukazującym nieznane a pociągające perspektywy — to wtedy, być może, dalibyśmy się nawet unieść rwącemu nurfowi wywodów, zapominając na chwilę o postulatach surowego krytycyzmu.

Jest rzeczą powszechnie znaną, że ulubioną domeną wszelkich pseudonaukowych wywodów jest dziedzina w której najłatwiej (pozornie) można się



fol. Klus

Którędy pójść?

posługiwać pięknie brzmiącymi ogólnikami w rodzaju: wszechświat, ludzkość, byt, absolut... Przygodni publicyści nie sobie nie robią z tego, że każdy z tych terminów wypełniony jest pewną ściśle określoną treścią. Żonglują oni dowolnie interpretowanymi pojęciami jak piłeczkami, dbając jedynie o to, aby zademonstrować swój kunszt zadziwionym widzom.

Oddajmy sprawiedliwość: wielu spośród amatorskich żonglerów nie zdaje sobie sprawy, że wszelkie igraszki filozoficzne (nawet te najbardziej błahe) przystoją wyłącznie „zawodowcom”. Można z miłym wdziękiem — zwłaszcza gdy się jest kobietą — paplać np. o estetycznych walorach modnego dzieła literackiego, ale ta sama rozmowa sprowadzona do ściślejszej płaszczyzny musi od razu obnażyć niekompetencję i braki wykształcenia specjalnego, których nie pokryją wdzięczne słówka, przeplatane na chybił — trafił repertuarem wyrywków naukowej terminologii.

Pisanie artykułu o pozorach naukowych, będącego w istocie zbiorem zbędnych i często prymitywnych wywnężeń — jest co najmniej niepotrzebne. Brak odpowiedniego przygotowania naukowego sprawia, że tezy autora będą razily nawet laików, nie mówiąc już o tem, że dadzą się z całą łatwością obalić.

Demaskowanie prymitywów nie jest rzeczą wdzięczną ani przyjemną. Tem niemniej jest to konieczne, chociażby ze względów profilaktycznych: zabezpieczenia jednostek bezkrytycznych przed pewnymi możliwymi wpływami bałamuctwa.

Użyliśmy tego ostatniego określenia z całą świadomością, gdyż właśnie jako typowy przykład bałamuctwa (zresztą zrodzonego w dobrej wierze) musimy wymienić zamieszczony w ostatnim numerze „Podchorążego” artykuł „Człowiek a wszechświat”.

Tytuł sensacyjny. Kogo bowiem nie zaintryguje oświetlenie tysięcy pierwszorzędnych problemów, zamkniętych w tem zestawieniu, zwłaszcza gdy ma się to wszystko zawrzeć w kilkudziesięciu wierszach druku?

Każdy z myślących rzeczowo i logicznie czytelników przywiedzie sobie naturalnie na pamięć to, co ostatnio udostępniła nam literatura naukowa, traktująca o wszechświecie.

Nie od rzeczy będzie przypomnieć przy okazji o pocieszającym fakcie wtargnięcia na nasz rynek wydawniczy fali doskonałej literatury z dziedziny popularyzacji nauk ścisłych. Trzeba tu wymienić „Bibliotekę wiedzy” Trzaski, Everta i Michalskiego, cykl z dziedziny nauki i techniki, redagowany przez wydawnictwo „Mathesis Polska”, a wreszcie „Bibliotekę naukową” Przeworskiego.



fol. Frontczak

Nad brzegiem Warty

Mogłoby się więc zdawać, że autorowi omawianego artykułu nie zabraknie wyczerpujących i pierwszorzędnych materiałów, opracowanych przez najwy-

bitniejszych uczonych świata i podanych w barwny i przystępny sposób. W wymienionych cyklach wydawnictw znajdujemy przecież takie dzieła, jak: Clarence August Chant „Cuda wszechświata“, Sir James Jeans „Wszechświat“, Sir Arthur S. Eddington „Czy wszechświat się rozszerza?“, H. i M. Vowles „Człowiek i siły przyrody“, i wiele innych, których znajomość winna chyba była obowiązywać autora artykułu „Człowiek a wszechświat“.

„Nim człowiek będzie mógł pojąć samego siebie, musi najpierw pojąć Wszechświat, z którego płyną wszystkie jego wrażenia zmysłowe. Chce zbadać Wszechświat w czasie i przestrzeni, ponieważ sam jest częścią Wszechświata, a Wszechświat — częścią jego.“ (Jeans — „Wszechświat“).

Brak nam miejsca (a poczęści i cierpliwości), by szczegółowo rozstrzygnąć wszystkie bałamuctwa typowej — według słów samego autora — „dyletanckiej igraszki“.

Nie możemy jednak ominąć paru jaskrawych momentów. Przedewszystkiem fantastyczne posługiwanie się samym terminem „wszechświat“. Kurczy się on w pojęciu autora do geograficznych wycinków ziemi, by znów się niespodziewanie rozszerzać potem w jakąś mistyczną mgławicę.

Swoistą „rewelacją“ jest stwierdzenie, że w dobie obecnej przeciwstawiają „wartości człowiecze wartościom kosmicznym, wykazując, że w miarę odkryć naukowych na polu wszechświata wartości człowieka w ocenie nowożytnej zmalały“. Aż się czytelnikowi zimno robi od tego pomieszania pojęć i niesamowitych łamańców myślowych. Przeciwstawianie wartościom człowieczym jakowychś „wartości kosmicznych“ (?) — przecież to jawne... nieporozumienie. A to „twierdzenie“ stanowi wstępną przesłankę i punkt wyjścia dla dalszych rozważań. Nie dziwi nas już potem, że wszystkiemu zawiniła... teoria względności, która „nie dowierza rozsądkowi“... Dziwne, że „nierozsądny“ Einstein dostał jednak nagrodę Nobla...

Dowiadujemy się dalej, że w momencie gdy wątpiacy w siebie człowiek nauczył się pytać: „Na co to? Czy warto żyć? W jaki sposób można najlepiej użyć życia?“ ukazały się „nowe widnokęgi“ i... wynaleziono samochód. Dziwne tylko, że ten znakomity wynalazek nie ukazał się już w V w. przed Chr., w okresie oświecenia starożytnego, odznaczającego się przewagą filozofii o charakterze humanistycznym.

Nie możemy analizować zdania po zdaniu. Trudno jednak pominąć refleksję „co jesteśmy warci?“, zrodzoną po triumfalnym przelocie Lindbergha przez ocean. Ta próbka „filozofii“ zdaje się dostatecznie charakteryzować naukową metodę autora.

Z fantastycznego „porównywania“ człowieka z... wszechświatem (!) wypływają niemniej fantastyczne wnioski. „Nowożytny duch kieruje się pozytywizmem, a raczej ilością...“, a dalej „miarą oceny człowieka jest wielkość kapitału, którym obraca...“ — ciekawa „filozofja“...

Człowiek współczesny „pomiatą sobą“. Wszystko dlatego, że... „pozytywizm obalił wszystkie wartości“.

Pozytywizm, „wytłumaczywszy“ historię stworzenia świata, pomniejszył (!) wszechświat, a jeszcze bardziej samego człowieka. Niesamowite rewelacje, graniczące, niestety, zbyt blisko z jawnym bałamuctwem. Słuchanie opowieści ślepego o kolorach męczy i denerwuje. I poco mówić?

Śmieszna jest próba wmówienia naiwnemu czytelnikowi, że w mglistej „dawności“ człowiek żywił więcej wiary w samego siebie. Zapytujemy kogo ma autor na myśli: czy osobnika z Neandertalu, czy też jego następców, pełzających na brzuchu w strachu przed hordami urojonych demonów? A może pomniejszonego człowieka wczesnego średniowiecza, dla którego nawet filozofja była „służebnicą teologii“? Mamy prawo sądzić, że myślący człowiek XX w. zdaje sobie w całej pełni świadomość własnej wartości i stanowiska w wszechświecie.

„Człowiek ustokrotniony“ — jak go nazywa amerykański uczone van Loon w książce pod tymże tytułem — nie odczuwa już dzisiaj lęku przed siłami przyrody, Człowiek przeszłości łączył lęk przed nieznanem z bezpodstawną pychą antropocentryczną (pepek wszechświata). Dzisiaj wszystko jest sprowadzone do należytych wymiarów, a przynajmniej do tego zdąża.

Ustęp o „niebie i moralności“ pozostawimy w spokoju. Tutaj bowiem wszelka próba dyskusji z autorem mogłoby natrafić na nieprzewidziane przeszkody.

Kończąc, uważamy za swój obowiązek wyjaśnić naszym czytelnikom dlaczego podjęliśmy ogólną (z braku miejsca — niestety) polemikę z autorem artykułu „Człowiek a wszechświat“. — Prostu jako pewne *memento* pod adresem „filozofów“, którzy niepotrzebnie mącą w głowach niedość krytycznym odbiorcom „pisanej mądrości“. Mamy jednak nadzieję, że czytelnicy poznali się na wartości wywodów.

Ludzie w mundurach umieją bowiem spoglądać na świat (i — wszechświat) trzeźwo i realnie. Kosmologii nie lubią mieszać z kosmogenją, a prawdy — z bałamuctwem.

pchor. St. Smoleński

BERLIŃSKA WYSTAWA SAMOCHODOWA POD ZNAKIEM MARSA

(KORRESPONDENCJA WŁASNA)

Berlin — luty 1936 r.

Jakkolwiek oficjalnie Wystawa berlińska była „cywilna“ i tylko część stoisk zajmowały samochody wojskowe, to przecież jednak atmosfera panująca na niej była nawskroś militarna, co najwięcej się uwydatniło w momencie otwarcia. Było wtedy chyba więcej mundurów niż ubrań cywilnych... Dużo pocztów sztandarowych zmotoryzowanych oddziałów armji, chłopcy w hełmach i dorośli żołnierze w hełmach. I wciąż „heil“!

Punkt o 11 godz. zajeżdżał Mercedes Kanclerza. Wódz wszedł do sali inauguracyjnej, gdzie oczekiwało 3 tysiące zaproszonych gości. Dyplomacja, dostojnicy, wojskowi, dziennikarze. Orkiestra, zagajanie pierwsze i drugie i wreszcie — cyt! Cisza. Wódz mówi. Ale myliłby się ktoś sądząc, że przemówienie będzie hymnem pochwalnym na cześć przemysłu motorowego Rzeszy! Wódz tym razem główny nacisk położył na zadania, jakie sytuacja polityczna i gospodarcza nakazała Niemcom wykonać. A więc chodzi dziś o uniezależnienie się na wypadek blokady wojennej. Aparat motoryzacyjny musi w czasie wojny działać, jak normalnie. A więc stworzono już „chemiczną gumę“ i osiągnięto dobre wyniki z paliwem krajowym. Zagraniczne opony i benzyna będą mogły być łatwo zastąpione przez „ersatz“e. Obecnie, orzekł kanclerz Hitler, najważniejszym zadaniem jest wyprodukowanie „niemieckiego Forda“ którego mogłyby nabyć miliony! I przemysł niemiecki musi takiego Forda jaknajprędzej wyprodukować! Obecna liczba samochodów nie zadowalnia Hitlera...

Koniec mowy, entuzjazm, purpurowa kurtyna odsłania halę z maszynami osobowymi, Kanclerz rozpoczyna oglądanie eksponatów. Elegancki tłum okupuje powoli Wystawę i... zbiera katalogi.

Jest osiem hal, czterystu wystawców. W hali „osobowych aut“ 18 firm wystawia kilkanaście „sensacyj“. Przedewszystkiem rewelacja, Daimler-Benz i Hanomag poraz pierwszy w historii samochodu zbudowały b. oszczędne auta osobowe z silnikami Diesl'a na ropal. Sto kilometrów jazdy kosztuje zamiast 7 RM tylko dwie marki...

Najdroższym wozem na wystawie jest Mercedes-Benz za 40 tysięcy marek. Jest to siedmioosobowa limuzyna rozwijająca 160 km/godz. Jeszcze szybszym jest dwunastocylindrowy Maybach (170 km godz.). Powszechną uwagę budził mniejszy Mercedes-Benz typ „170 H“ z motorem... z tyłu! Z przodu jest umieszczony bagażnik. Jest to typowy wóz

podróżny chociaż niema klasycznej linii aerodynamicznej, czem znów wyróżniał się Adler. Jak wiadomo ma on 12 rekordów świata w długodystansowej jeździe. Jest już wystawiony seryjny i ekonomiczny model Adlera z Aerodynamiczną karoserją rozwijający przy małym silniku 6 cyl. aż 150 km/godz. (na autostradzie!) Zużycie paliwa wynosi około 11 l. na sto km.

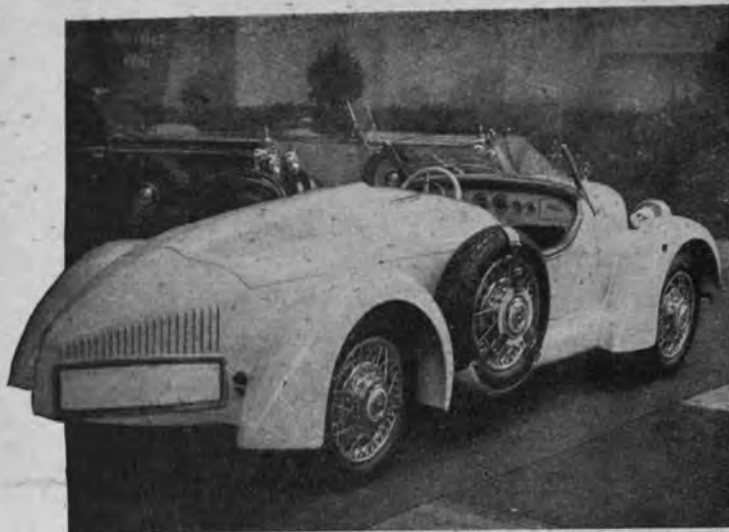
Najliczniej jest reprezentowana klasa wozów osob. o średniej i małej mocy. Już za 1650 marek mamy możliwość kupić Opla typ „P. 4“.

Adler „Triumpf“ i DKW stosują napęd na przednie koła, przy którym wóz może być lżejszy i oszczędniejszy. Ogólne tendencje konstruktorów w roku bieżącym to stosowanie silników czterocylindrowych wolno zawieszonych, cichych i oszczędnych oraz stosowanie pewnego resorowania. A więc stosuje się resorowanie indywidualne każdego koła (Opel, Hanomag), resorowanie sprężynowe i t. d. Większość wozów średniej mocy ma tak dobrze rozwiązane resorowanie, że nadaje się do jazdy terenowej. Wobec dobrego stanu dróg niemieckich należy uważać tę tendencję albo za zbytę, albo wynikającą z militarnego nastawienia przemysłu, który buduje wozy „na każdą okoliczność“, na asfalt, na błoto i piaski (dużo fotografii ilustruje ciężkie próby terenowe).

Dział motocykli jest więcej obłożony przez zapaleńców bez różnicy płci i wieku. Wybór jest ogromny. Kilkadziesiąt modeli w cenie od... 280 marek wwyż. Najwięcej oglądane są modele z mo-



Nowe wojskowe wozy niemieckie na oponach z syntetycznego kauczuku.



Fragm. Berlińskiej Wystawy Samochodowej — 4-ro cylindrowy, sportowy Mercedes-Benz, typ 150.

torami 200 cm pojemności, z nożną zmianą biegów. (Jest to klasa motocykli nie wymagająca prawa jazdy). Najwspanialsze modele wystawiło B. M. W. i Zündapp. BMW „R 5“, ma dwa cylindry, dwa karburatory, podwójną zmianę biegów (ręczna i nożna) i osiąga 140 km/godz. Podwójna, kołyskowa rama, początkowe widelce i wsporniki resorowanie świadczy, że maszyna ta jest zbudowana z myślą o jeździe terenowej (łącność!) Zündapp chwali się ramą skręcaną z odcinków, co też wygląda na przewidzianie *szybkich reperacji*. Łatwiej jest wymienić kawałek uszkodzonej ramy niż taszczyć motocykl do szwajcarskiego, co w czasie wojny może być nawet wręcz niemożliwe. Większość modeli z nożną zmianą biegów posiada *świetlną sygnalizację* ostrzegającą o włączeniu wolnego biegu. Modele czterotaktowe mają b. cichy bieg, bodaj cichszy od maszyn angielskich.

Skolei przechodzimy do najciekawszego działu wystawy — do ciężarówek, autobusów i ciągników. Tu, najlepiej widać wyraz „cywilnego“ przemysłu motorowego Rzeszy. Bo można uwierzyć w duże zapotrzebowanie Niemiec na pojazdy transportowe, ale trudno uwierzyć, aby transport po gładziutkich drogach niemieckich wymagał podwozi o wybitnie *terenowym* przeznaczeniu! Wszystkie ciężarówki „cywilne“ są bezwzględnie przystosowane do pracy „wojskowej“ i mało różnią się od specjalnych samochodów wojskowych. W dziale wielkich „transportówek“ największym jest chyba trzyosiowy MAN ze 150-konnym motorem, nośności 10 tonn i przeciętnej szybkości użytkowej 80 km/godz. Obok tego olbrzymia oglądamy aerodynamiczny autobus Henschl'a, także trzyosiowy z 300-konnym (!) motorem o podróżnej szybkości 120 km/godz. Silniki w wielu modelach są umieszczone *pod podwoziem*, aby zwiększyć powierzchnię nośną. Oczywiście większość sil-

ników jest zbudowanych na *ropal*. Jednak mogą one być przerobione do użycia z paliwami krajowymi. Widzimy kilka modeli pędzonych *gazem drzewnym* (70% tańszy od ropy), a nawet wprost *drzewem i koksem*.

Sensację budzą specjalne maszyny wojskowe. Są one b. silne, o średnim tonażu, „łamanych“ osiach, często podwójnym resorowaniu, b. dobrze wyważone. Fotografje na stoisku pokazują te wozy na spadkach, dołach, błocie i w czasie forsowania rzeczek. Rzesza zmotoryzowała transport żołnierzy, armat, karabinów maszynowych i... zaopatrzenia! Firma „Maginus“ produkuje kolumny zaopatrzenia, składające się z 5 jednostek (3 auta i 2 przyczepki). Kuchnia może wydać 30 tys. posiłków w ciągu doby (zupa, mięso, kartofle, jarzyny, kawa i t. p.). Kolumny takie osiągają szybkość do 75 km/godz. i poruszają się *cicho* i *zwinnie*. Specjalne wozy zawierają *radjostacje*. Są to także wozy terenowe. Sensacyjnie przedstawia się *kran* do podnoszenia ciężarów (czytaj: czołgów). Jest on umieszczony na sześciokołowym podwoziu i może unieść przewrócony parowóz. Należy zaznaczyć, że kolumna zaopatrzenia może wykonać pracę 300 pojazdów konnych, robiących wiele hałasu, powolnych i trudnych w przyfrontowym użyciu. Szereg samochodów posiada *gąsienice* nowego typu zupełnie luźne i zawieszane na ruchomych podwieszkach.

Obok stoją ciągniki. Tu trudno jest rozdzielić (zresztą jak i w innych działach) gdzie się kończy produkcja „cywilna“, a gdzie zaczyna „wojskowa“. Ciągniki wszystkie bez wyjątku są b. pożądane dla armji. Mają one dużą siłę i ciągną nieraz aż pięć przyczep o nośności do 2 tonn. Ciągniki mają konstrukcję zbliżoną do czołgów i aut pancernych. Produkcja ich wynosi przeszło 600 sztuk miesięcznie, a ma być zdwojona. Nie zawadzi wspomnieć, że proceder produkcji tych pojazdów jest zbliżony do fabrykacji czołgów... W pojazdach wojskowych są stosowane powszechnie *opony terenowe* b. wytrzymałe.

Ogólne wrażenie z działu wojskowego i transportowego jest ogromne. Bezwzględnie Niemcy stoją na tem polu, na *pierwszym miejscu* na świecie, jeżeli chodzi o celowość i staranność konstrukcji. Przemysł Niemiec rzeczywiście odrodził się za rządów Hitlera. Szereg specjalnych *zarządzeń motoryzacyjnych* (z premjowaniem nabywców samochodów na czele) spowodował dobrą konjunkturę na wozy i motocykle osobowe. Fabryki uzyskały możliwość inwestowania w *produkcję specjalną*, a więc w nowe typy ciężarówek, auta terenowe i t. d., t. j. te modele, które w czasie pokoju nie mają *dużej racji bytu*. Aby zaś podtrzymać tę gałąź produkcji, rząd Rzeszy stosuje w dalszym ciągu wielkie ulgi dla nabywców samochodów transportowych, ze specjalnym uwzględnieniem modeli poruszanych *paliwem*

krajowym. Mechanizm motoryzacyjny działa świetnie. Z jednej strony zmotoryzowano już kilka dywizji, z drugiej cały transport towarowy. W roku ubiegłym zarejestrowano około 45 tys. sam. ciężarowych!

Plan mobilizacyjny jest z dnia na dzień pomyślniejszy. Coraz więcej wozów, coraz więcej kierowców.

Opuszczając wystawę ma się wrażenie, że właściwie wszystkie ekspozyty mają przeznaczenie militarne obok pokojowego. Pojazdy sportowe tracą swój charakter z chwilą kiedy się mówi o ich „zdolności terenowej“ i innych zaletach niesportowych. Wystawa tegoroczna jest przekrojem popierania nowoczesnego aparatu obronno-mobilizacyjnego. Nie wyłącza to zresztą wielkiego znaczenia wystawy dla twórczości i postępu pokojowego.

Pchor. rez. *Bolesław Andrzejowski*.
Berlin w lutym.



Stoiska samochodów ciężarowych na Wystawie Samochodowej w Berlinie

SMUTNO MI BOŻE...

*Smutno mi Boże, że się hen na wschodzie
nie dla mnie tuna nad Warszawą pali*

— *I patrzę jeno, jako szara Wisła
blask złoty łamie w chybotliwej fali.*

— *A że przepustki człek dostać nie może,
Smutno mi, Boże!*

*Niby klucz szarych jesiennych żórawi,
szef dzisiaj wojsko ustawił w szeregu;*

A kiedy nogę kazał wznieść do góry...

...gwóździa nie było w podeszwie mej brzegu.

— *Że o gwóźdź w bucie serce moje trwożę,
Smutno mi, Boże!*



*Smutno mi Boże, gdy się spać położę,
to przy drugiej ścianie*

widzę co nocą zapalenie świateł,

Słyszę co nocą szarż spacerowanie.

— *Że do raportu każda zapisać mnie może,
Smutno mi, Boże!*

*Rzucony w otchłań powolnego czasu,
Sto dni od września*

i trzysta przed wrześniem,

już o „cywilu“ nawet marzyć nie śmiem,

— *I że zmartwienie nic mi nie pomoże,
Smutno mi, Boże!*



Modlin w grudniu 1934 r.

Romuald Kozioł.

POD KOROSTENIEM

Zakopcona lampa oświetla wnętrze izby, święte obrazy na ścianach, rozłożony po kątach żołnierski dobytek i leżące na ziemi pokotem postacie. Żarzące się na kominie węgle rzucają czerwone błyski na rozwieszony wokół, suszące się mundury, płaszcze, onuce. Ciężkie, duszne powietrze. Krople wody spływają po zroszonych szybach.

Ciemny kwadrat okna robi wrażenie jakby poza płaszczyzną szyb nie już nie istniało, jakby świat zmalował do tej ciasnej izdebki. Tylko druty telefonu wybiegają poza tę granicę, w ciemność, tylko brzęk dzwonka sprawdzającego linię świadczy, że tam ktoś czuje, myśli, czuwa.

Westchnienia, stękania czasem przekleństwo lub nieprzytomny rozchwyty dobiegają się z ust śpiących. Śpią snem niespokojnym, przeżywając w poświadomości ostatnie walki, trudy, wzruszenia.

Podchorąży Zdanowicz mocniej pochylał się nad rozłożoną na stole mapą. Wzrokiem przebiega szlak drogi tak niedawno przebytej — Aleksandrja, Korzec, Marjanin — każda nazwa wywołuje w pamięci obrazy i zdarzenia wiążące się w całość — uparty, niepowstrzymany pościg za konną armją Budiennego. Walka w Ostrogu, 100-kilometrowy w ciągu doby, oszalały marsz, gdy konie masowo odpadały od armat, wypad 2 baterji z 14 pułkiem ułanów za Słucz i walka pod Serbami, gdy z odkrytych stanowisk bili w pozycje nieprzyjaciela pod wsią. Spokojnie bez wzruszenia kierował ogniem swego działka. Huk, gwizd pocisków — znana melodia. Dwa lata bezmala walk, tułaczki, noclegów w dworach i stodołach lub gdzieś w polu na zimnie i deszczu.

Myśl uleciała w przeszłość do owego płomiennego listopada 1918 r. owianego legendą wyzwolenia gdy on ochotnik wstąpił do Armji Polskiej. Wspomnienia pierwszych dni w wojsku, gorączkowych przygotowań wyjazdu na front, wyjazd, pierwsza bitwa i trema, trema jak na pierwszej randce.

Potem przeżył triumf wyprawy na wschód i rozpacz odwrotu. Front rwał się to tu, to tam, trzeba się było cofać przed rozlewającą się jak powódź, konną czerwoną armją. Dziś brał odwet za trud, ból, mękę serdeczną.

Ostatni wypad. Tabory i co słabsze konie zostały. Wyrusza cały korpus kawalerji w jego składzie 3 dywizjon. Męcząca droga przez lasy, z obu stron drogi nieprzenikniona zasłona drzew, krzewów; wzrok zmęczony jednostajnością otoczenia. Gałęzie biją po twarzy, działa grzęzną w wyrwach wąskiej drogi. Otaczający gąszcz jest tajemniczy może kryć niejedną groźną niespodziankę.

Jest i niespodzianka — nagle spotkanie z nieprzyjacielem koło Niemelanki. Artylerja spędza go ze stanowisk. Dalszy marsz, postój w Fedorówce i znowu dalej.

Wzrok Podchorążego zatrzymuje się na ostatnim etapie — kwatery dzisiejsze w Starej Karolinie — śmieszna nazwa; będzie już chyba niedługo świtać — no październik, późno się dzień zaczyna.

Telefogram: pobudka, odmarsz, kierunek wieś Czołówka — Korosteń.

W nocy wziął przymrozek. Kałuże po wczorajszym deszczu pokryły się cienkim szklwym lodem. Niebo przetarło się, stało się trochę jaśniej. Ruch między opłotkami, kolumna cała ściąga na drogę. Rusza — kopyta końskie chlupoczą w lekko tylko stężającym błocie, cicho brzęczą jakieś łańcuchy. Podchorąży Zdanowicz jedzie koło swojego czwartego działka. Kołysanie w takt końskiego chodu usypia. Głowa opada na piersi.

Budzi go dopiero silniejsze uderzenie wilgotnej gałęzi. Krople wody zraszają mu twarz, przytomnieje. Już dzień. W kolumnie ożywienie, ruch. Zwiady doniosły, że nieprzyjaciel obsadził miasto i stację Korosteń, a na torze w stronę Żytomierza działka pociąg pancerny.

Patrole telefoniczne rozsunęły już przedzę swych drutów. Bokami drogi mijają się gońcy — meldunki, rozkazy. Czwarty działek 2-giej baterji ma zająć stanowisko przy przejeździe kolejowym. Zadanie — zwalczanie pociągu pancernego.

Konie sprężyły się w wysiłku, napięły się postronki. Spod kopyt bryzgało błoto. Ruszyli kłusem. Szprychy migają przedziej, koła żłobią głęboko w rozmiękłej drodze dwie równoległe brzozy. Lewa wolna! Lewa wolna! Minęli baterję, skręcili na lewo, przez pola. Działko skacze, brzęczy, huczy na wybojach. Tor, przejazd. Z artyleryjską fantazją na stanowisko. Odprzodkowali. Punkt obserwacyjny. Pociski, zapalniki. Gotowe.

11 i 12 pułk ułanów naciera na miasto wspierany przez 2 baterję, która celnie, nieustannie bije w stację kolejową, w rozbudowane przed miastem pozycje nieprzyjaciela. Podchorąży Zdanowicz ze swego punktu przy torze widzi miasto i stację — widzi jak raz poraz spośród budynków, torów stacyjnych podnoszą się słupy wybuchów granatów. Twarz mu się śmieje, oczy błyszczą; z wprawą starego praktyka ocenia tę niszczącą artyleryjską pracę.

Godzinami tak można siedzieć i patrzeć bez znużenia z lornetką przy oczach, że aż łzy pod powieki napływają, tylko żal, że się tak siedzi bezczynnie, że się musi czekać. Aby tylko ten pociąg nadjechał, żeby mu się co przedtem nie stało... Podchorąży niemal z czułością myśli o wrogiej panierce, żeby mógł otoczyłby ją troskliwie czapką niewidką — byleby szczęśliwie tu dojechała, by się mógł z nią zmierzyć.

Niema jej, nie nadjeżdża, czyżby rozbili. Już zmierzcha, stracona okazja, a szkoda..

Nadchodzi noc, noc pełna niepokoju, wybuchająca wrzawą dalekich starć, gwałtownych strzelanin, lub mówiąca cichym szumem i rozgwarem, że coś się pod jej osłoną dzieje, że lada chwila gdzieś w pobliżu rozebrzmiał bezładnym ogniem karabinów, rozświetli się blaskiem rakiet. Ludzie skaczą do siebie w wściekłym zapamiętaniu, w mroku i ciasnocie rzuca nieprzydatne karabiny i chwycą się rękami za gardła.

Kawał chleba i suchego, twardego jak kamień sera zafasowago „na lewo“ gdzieś podrodze, cała dzisiejsza kolacja, trzeba żuć długo, dokładnie — na dłużej starczy.

Spać nieposób — trzeba być przytomnym, gotowym. Zresztą nerwy napięte, że i spać się nie chce.

Świt przynosi niespodziankę — korzystając z nocy nieprzyjaciel podsunął się na 50 m. do toru, skoro świt rozpoczął ogień.

Wycofać się, ustąpić? Strzały coraz gęstsze, gwałtowniejsze, nasyp toru aż się kurzy od padających pocisków.

Telefon „...Dowódca korpusu zezwala na opuszczenie stanowiska. Tak.

Że niemożliwe do utrzymania?... Melduję posłusznie, że wytrzymam... Tak jest...“

Podchorąży Zdanowicz śmieje się, przez lornetę spokojnie patrzy na wylot ze stacji, czy się stamtąd nie ukaże oczekiwany gość...

Nad ranem zdobyto przedmieście Korostenia, zato atak na miasto spotkał się z bardzo silnym ogniem nieprzyjacielskiego pociągu pancernego. W tym czasie 4 działka 2 baterji swym celnym ogniem zmusiło pociąg pancerny do wycofania się¹⁾.

...przedstawiam do orderu *Virtuti Militari* 5 klasy pchor. Aleksandra Zdanowicza za czyny pod Korosteniem z dn. 11. X. 1920 r..

W dn. 11. X. 1920 r. będąc komendantem działka postawionego na torze kolejowym, mającym za cel ostrzelanie i zatrzymanie opancerzonego pociągu był wraz z obsługą pod bezpośrednim i silnym ogniem karabinowym. Pomimo zezwolenia D-cy Korpusu Jazdy schronienia się czasowo za tor kolejowy nie opuścił swego stanowiska, pilnie obserwując skąd spodziewany był pociąg pancerny, bezwzględnie narażając swoje życie. Swym bohaterskim zachowaniem się w tak niebezpiecznej sytuacji świecił przykładem i podtrzymał ducha w oddziale.



Postać wyprężona, palce przy daszku oddają honor Wodzowi. Twarz skulpiona poważna tylko oczy błyszczą wesoło, radośnie. Na piersi na czarnoniebieskiej wstążce krzyż *Virtuti Militari*.

Pchor. W. Brodzikowski.

¹⁾ Zarys historii 3 dywizjonu artylerji konnej w opracowaniu kpt. W. Góreckiego.

POLSKA WYPRAWA ALPINISTYCZNO-NAUKOWA NA KAUKAZ

Każdy naród ekspansywny wybiega swą działalnością poza własne terytorjum. I to nietylko w dziedzinie wielkiej polityki, nauki czy sztuki ale także i w sporcie, więcej nawet, bo w każdym przejawie życia. Na dorobek ludzkości w ogólnodziejowym pochodzie cywilizacji i kultury, składają się poszczególne wysiłki różnych narodów. A rola narodów przodujących w tym pochodzie, jak to już wyżej zaznaczono, przejawia się w każdej dziedzinie życia.

To też każdy fakt naszego wystąpienia na zewnątrz, oczywiście z powodzeniem, trzeba powitać z zadowoleniem. Sportem, stosunkowo mało znanym u nas w Polsce jest alpinizm, polegający na zdobywaniu niedostępnych urwisk skalnych czy też lodowcowych. A właśnie ten sport u nas należy do tych, którego działalność wybiegła już poza ramy naszego kraju i którego wyniki stały się już własnością dorobku ogólno-światowego alpinizmu.



Wieża wartownicza przed osetyńskim aulem.

Polskie wyprawy wysokogórskie, przyniosły szereg sukcesów alpinistycznych. I choć niektórzy kwestionują celowość ich, twierdząc, że nie przynoszą one żadnych korzyści materialnych, to jednak nie trzeba zapominać, że są one przejawem rozmachu i tężyzny ducha polskiego. Gdy Lidbergh przeleciał Atlantyk, my młodzi entuzjastomaliśmy się nie możliwością przyszłej komunikacji handlowej przez ocean, lecz właśnie wspianiem i bezinteresownym zwycięstwem.

A zresztą wyprawy alpinistyczne, przyniosły szereg konkretnych zdobyczy naukowych. Pomiar wysokości drugiego co do wysokości szczytu w obu Amerykach; Mercedario, zbadanie topograficzne białych plam w Andach Argentyńskich lub w Wysokim Atlasie Marokańskim, wreszcie wykonanie dokładnej mapy niezbadanej dotąd Ziemi Torella na Spitsbergenie.

Głównym celem tych wypraw była jednak walka. Walka z trudnościami gładzisz skalnych, czy zerwisk lodowych, walka z ogromnymi odległościami, niskim ciśnieniem, z mrozem i śnieżycami burz wysokogórskich.

W roku zeszłym wyjechała z Polski wyprawa alpinistyczno-naukowa w góry Kaukazu. Zorganizowana przez Klub Wysokogórski, poparta została finansowo przez czynniki państwowe. Wyprawa ta dzieliła się na dwie grupy o odmiennych zadaniach. Jedna grupa, złożona z alpinistów, miała na celu wyjścia szczytowe, druga naukowa, w skład której wchodził botanik, zoolog i geomorfolog, miała przeprowadzać badania naukowe. Jedynie Kierownik wyprawy prof. dr. M. Sokółowski należał do obu grup, jako alpinista doświadczony, dokonywując wyjść górskich, oraz przeprowadzając badania nad socjologią lasów kaukaskich.

* * *
Wyprawa wyruszyła z Warszawy z samym początkiem lipca. Po kilkudniowym pobycie w Mos-

kwie, koniecznym dla załatwienia różnych formalności, gdzie zaopiekował się nami z całą serdecznością ambasador polski p. Łukaszewicz udaliśmy się koleją do Ordżonikidze. (Dawny Władykaukaz).

Formalności, które się tak bardzo w Związku Sowieckim odczuwa na każdym kroku zatrzymały tu nas znowu przez parę dni. Wreszcie wyruszyliśmy w góry, kierując się w grupę Adai-Choch, Centralnego Kaukazu. Autobus dowiózł nas do małej osetyńskiej wioski Zgid, położonej już wysoko w górach.

Tu montujemy karawanę z osłów, na których umieszczamy cały nasz ekwipunek oraz żywność na trzy tygodnie. Nareszcie jesteśmy w górach.



Karawana w drodze na przełęcz Sztulu.

Wąską doliną, poprzez bujną tropikalną wprost roślinność przedzieramy się ku górze. Wspianiałe gaje azaljowe, zapachem swym wprost odurzają. Wreszcie wychodzimy na przełęcz Sadońską. Przed nami — łańcuchy górskie lśniące czernią nad białymi plamami lodowców.

Na dole wkraczamy w okolice zamieszkałe. Wysoko, przypinane do zboczy, zdaleka widnieją osetyńskie aule. Od czasu do czasu, ukaże się na drodze uzbrojony jeździec w wspaniałej futrzanej burce. Rzuci parę słów pozdrowień i wnet zniknie gdzieś za zakrętem.

Wzdłuż drogi gęsto poustawiane kamienne płytowe pomniki z wyrzeźbionymi na nich podobiznami ludzkimi. To pamiątki vendetty, krwawej zemsty rodowej, z którą jeszcze teraz usilnie walczą władze sowieckie. Czasem pomników takich stoi kilka koło siebie, jako widomy znak, może już zapomnianego nawet, jakiegoś większego dramatu.

Widać też i wielkie kamienne grobowce. Według opowiadań poganiaczy naszych osłów leżą, tam ofiary dżumy, która kilkadziesiąt lat temu zdziesiątkowała Osetynów. Zadżumiony, miał sobie sam budować grób, gdzie wchodził i umierał. Rzeczywiście,

zajrzawszy przez otwory w murze, można było dojrzeć leżące w dziwnych pozach, wyschnięte trupy lub szkielety.

Droga do Adai-Choch była dość daleka. Wraz z nadchodzącą nocą, w ogromnym sosnowym lesie nad pieniającą się rzeką Uruhem, rozbijamy namioty. A nazajutrz wczesnym rankiem znów dalej. W palących promieniach południowego słońca idziemy doliną Uruhu. Azalje i tu nam towarzyszą, znacząc zbocza doliny ogromnymi różowymi płotami.

We wsi Dżinego opuszczamy Uruch. Wynajmujemy tu też nowe osły i zostawiamy część naszego bagażu u jednego z dygnitarzy miejscowego Selsowietu. Idąc w dalsze grupy Kaukazu, będziemy przez wieś tę przechodzić. Zabierzemy wtedy nasze rzeczy. Dygnitarz mieszka w kurnej chacie. W największej izbie, a ma ich coś z pięć, na podłodze z ulepionej gliny sypia wieńcem naokoło ogniska jego rodzina złożona z czterech osób. Transakcję dla większej pewności pieczętujemy butelką araki, miejscowego samogonu z jęczmienia. A zresztą odmówić trudno. Odmowa poczęstunku uchodzi tu za zniewagę.

Znów głębokim lasem podszytym azaljami pniemy się w górę. Cel nasz już niedaleko. Drzewa stają się coraz rzadsze, coraz mniejsze i w końcu poprzez przeświecający już las, widać lodowiec Karaugom, a nad nim wspaniałe zerwy Adai-Chochu (4647 m.) i Burdżuli (4357 m.).



Zagroda bałkarska

U stóp lodowca został założony obóz główny wyprawy. W obozie tym została grupa naukowa, przeprowadzając następnie swe badania i zbierając nader ciekawy materiał naukowy. Alpinisci ruszyli dalej, aby być bliżej gór. Po zdradliwym oślizgłym lodowcu, popękany w szeregi szczelin, nie dało się już iść karawaną. Trzeba było pod przygniatającym ciężarem bagażu na plecach, czterokrotnie przejść drogę lodowcem, aby wszystkie rzeczy znieść

do górnego obozu alpinistycznego, założonego pod Adai-Chochem.

Po długiej wędrówce należał się nam odpoczynek. Lecz gdy tylko, na drugi dzień wiatr zmiótł mgłę i tuż nad nami ukazały się piętujące się gdzieś w górę, zerwy lodowe i skalne, podzieleni na dwie grupy — ruszyliśmy.

W ciężkiej sześciodniowej wyprawie powiodło się pokonać jednej z grup niezdojty dotąd lodowcowe urwisko północnej ściany Burdżuli oraz wyjść na szczyt ten dalej, wschodnią granicą.

Lecz i druga grupa nie próżnowała. Ostatni dziewiczy szczyt w tej grupie, a jeden z niewielu już w Centralnym Kaukazie Nookau - sans - Kaja (4135 m) został osiągnięty po czterodniowym szturmie. Wracając z tego szczytu grupa ta, złożona z trzech ludzi, wskutek pęknięcia czekana asekuracyjnego uległa wypadkowi obsunięcia się w śnieżnolodowym żlebie. Nadzwyczajnemu zbiegowi okoliczności należy jedynie przypisać, że mimo przeszło 350 metrowego upadku, alpinisci wyszli z tego wypadku cało. Jednak odnieśli oni pewne obrażenia, a nawet jeden z nich bezpośrednio potem musiał opuścić góry, aby poddać się kuracji. Wypadek ten osłabił więc chwilowo działalność wyprawy.

Mimo to dokonano jeszcze z lodowca Karaugom II wyjścia na Saudor-Choch (4170 m). Następnie zwinęto oba obozy, górny alpinistyczny i dolny naukowy, aby znów karawaną przejść przez przełęcz Sztulu (3348 m) do Kabardyno-Balkarji. Po sześciodniowej wędrówce, dotarto do lodowca Bezingi, leżącego u stóp najwyższych olbrzymów Kaukaskich jak Dych-Tau (5198 m), Szchara (5184 m), Dżauga (5053 m).

Kilku uczestników wyprawy, obrało inną drogę do tego lodowca. Mianowicie z doliny Ach-su leżącej za przełęczą Sztulu, udało się lodowcem Dych-Katibugoj-su przez przełęcz Dychni-ausz (3877 m) do Bezingi. Po drodze zostali zaalarmowani przez alpi-



Widok z doliny Ach-su

nistów sowieckich, którzy na sąsiednim lodowcu Ailama ulegli nieszczęśliwemu wypadkowi. Rosjanie Ci, wskutek załamania się mostu śnieżnego wpadli do szczeliny lodowca. Jeden z nich poniósł śmierć na miejscu, drugi złamał rękę i uległ ciężkiemu potłuczeniu, a jedynie trzeci, pozostały, wyszedł bez szwanku. Udał się on po pomoc i właśnie po drodze napotkał Polaków. Ci natychmiast pośpieszyli z pomocą, ratując ranego, co zostało z uznaniem podkreślone później przez całą prawie prasę sowiecką.

Na lodowych postaciach Bezingi grupa naukowa nie miała pola do pracy. Geomorfolog zajął się przeto badaniem doliny Czerehu Bałkarskiego a pozostali naukowcy udali się do doliny Bachsanu pod Elbrusem, gdzie nadal kontynuowali swe zajęcia.

Grupa alpinistyczna zajęła się przedewszystkiem atakowaniem drugiego szczytu co do wysokości na Kaukazie, Dych-Tau. Szczyt ten jeden z najtrudniejszych na Kaukazie, był właśnie w tym sezonie atakowany bezskutecznie przez wyprawy alpinistyczne, austriacką, francuską i sowiecką, przy czym ta ostatnia nawet, opłaciła swą próbę śmiercią jednego z uczestników.

Lecz Dych-Tau nie od razu dał się zdobyć. Po trzech dniach walki ze skałą i lodem, polska



Zjazd na linie z przepaścistej ściany.

wyprawa załamuje się tuż pod szczytem na wysokości 4930 m. Burza śnieżna zmusza nas do biwaku na wąskiej półce skalnej. Przywiązani linami do haków, spędzamy noc w mroźnej kurniawie. A nazajutrz odwrót na obsadzonych linach. Zgrabiałe ręce niezdarne manipulowały węzłami. Również ciągle wbijanie haków zjazdowych zabrało sporo czasu. Dych-Tau nie chciał wypuścić tak szybko tych, którzy się na niego porwali. Jeszcze jeden biwak w skale tym razem już wygodniej, bo na miękkiej śnieżnej platformie.

W kilka dni potem polska wyprawa wychodzi na Baszi-aus-Basza (4452 m) i Pic Siemianowskiego (4054 m).

Pada również w czterodniowej wyprawie osławiona Szchara (5184 m), wielką śnieżno-lodową

drogą angielskiego alpinisty Cookena.

Następnie nowa próba na Dych-Tau. Znowu nieudana. Wreszcie pod sam koniec sierpnia Dych-Tau zostaje zdobyty. Cele wyprawy zostały osiągnięte.

Obie grupy, alpinistyczna i naukowa spotykają się w Nalczik, skąd następuje powrót do Ordżonikidze i zakończenie wyprawy.

szer. z cenz. B. Chwaściński.

Dęblin S. P. L.

SUWAŁKI – MIASTO PUŁKU MARSZAŁKA

Podchorążówka grodzieńska jest szczerze przywiązana do swych tradycji. Na nich kształtuje się atmosfera i nastrój naszej szkoły. Wiadomość o oczekiwanej z niecierpliwością wyjeździe do Suwałk przyjeźliśmy z wielką radością. Radość jest dziś udziałem całego kursu... Cieszą się nawet mury, że odetchną trochę...

Mamy być dziś specjalnie przedstawieni Korpusom Oficerskim macierzystych pułków. Plutony, które mają swą rodzinną żołnierską w Grodzie pozostają na miejscu i składają wizyty 76 i 81 pułkowi. Sieroty z plutonu 41 p. p., pozbawione na codzień ciepłego oka d-cy swego pułku cieszą się, że będą choć przez dzień pupilkami tegoż pułku... Coprawda 76 p. p. przy którym jest kurs, przygarnął nas narównie ze swymi dziećmi z prawego łóża, łagodząc tamsam tęsknotę do przyszłej naszej formacji — niemniej uczucia nasze kierują się tam, gdzie ma nas związać powinność żołnierska i honor jednego z najświetniejszych pułków polskich piechoty. Ma to być jakby pierwszy nasz chrzest pułkowy.

Zebrani z różnych stron Polski, nieraz już słyszeliśmy o pięknie jezior Suwalszczyzny, zwykle w połączeniu z bogactwem lasów augustowskich. Niejednego z nas pociągał krajobraz tego zakątka... Perła Suwalszczyzny królewskie je-

zioro Wigry nęci turystów z najdalej rozległych polaci kraju...

Ale jakżeż mało ludzi w Polsce wie, że wysunięta w objęcia niemieczyzny i wrogiej dziś Litwy Suwalszczyzna, jest przesiąknięta do głębi największą miłością Ojczyzny...

Historja tej ziemi to krwawa martyrologja dzielnej i nieugiętej ludności mazurskiej. Tu, na tej ziemi najdłużej przetrwało powstanie styczniowe, bo do 1865 roku.

Jakże dziwny zakątek te Suwałki — kresy bez kresów narażone przez lat tyle na pokusy prusaczyzny, stanowią dziś rdzeń Polski bez żadnych naleciałości.

I właśnie taka ziemia mogła wydać pułk, którego bojowości widowym znakiem są *wszystkie wygrane bitwy*, oraz krzyż *Virtuti Militari* wieńczący sztandar pułkowy. Gęsto rozsiane kości bohaterów pułku na polach bitew Lidy, Wilna, Mińska, Kijowa, Narwi, Browar są relikwiami na których wychowują się obecne pokolenia żołnierskie... Jak straż przednia armji polskiej odbył pułk najdalszą trasę aż do Kijów.

W uznaniu za bój pod Lidą ówczesny Naczelnny Wódz a później Marszałek Polski zgodził się w dn. 19 kwietnia 1919-go roku zostać szefem pułku. *Pułk Suwałki był pierw-*

szym z pośród trzech pułków w armji polskiej, których szefem został Komendant. Śmierć Komendanta sięgnęła głęboko do serc Jego żołnierzy — na znak żałoby po swym Wielkim Ojcu obchodzi pułk roczną ścisłą żałobę oraz symboliczną żałobę wieczystą, wyrażającą się w czarnej obszywece na lewym naramienniku.

Mało jest w Polsce pułków, któreby od początku swego istnienia poprzez cały okres swych walk aż do okresu pokojowej pracy, były tak związane ze swą ziemią, z której wyszły. Tradycje 41 pułku możnaby wyrwać tylko z ziemią suwalską, w którą głęboko wrosły. Historja Suwalszczyzny i historja 41-go pułku dawnego 1 p. strzelców suwalskich — to jedno.

Za ostatni grosz rolnika i robotnika, zbierany pod okiem okupanta niemieckiego, tworzyły się tu z ochotników tajne oddziały, wysyłane partjami za kordon w stronę Zambrowa i Rajrodu w szeregi „swojego pułku”.

Żołnierz-ochotnik z ziemi suwalskiej nie zawiódł nadziei swych współrodaków. Wierny szczytnym tradycjom ducha polskiego niósł wolność ludowi na kresach. Ziemia suwalska najdłużej ze wszystkich dzielnic okupowana przez Niemców, oswobodzona przez swych własnych żołnierzy, witała ich jak najszlachetniejszą swą częścią, jaką tylko mogła wydać — Suwalszczyzna, podobnie jak w tych chwilach, kiedy brzask lepszego Jutra walczył z koszmarem nocy, tak i dziś gdy przeżywa dumę i radość Niepodległego bytu, powierza z ufnością swemu pułkowi honor i tradycję męczeńską swej ziemi.

Z tem uczuciem przekraczamy progi koszar swego pułku.

Oczy nasze mimowoli szukają porównań, mimo powagi chwili jakiej doznajemy i... lekkiego zmęczenia z podróży, humor nie opuszcza nas — prym wiedzą jak zawsze sportowcy... Piłkarze mają z miejsca zastrzeżenia, woleliby, żeby boisko było dalej od koszar a tu jak na złość pod nosem... zato etatowym porządkowym uśmiecha tu się lepsza przyszłość — czarno malowane taborety no i o dziwo! odstąpienie od „systemu kostkowego” to symptomy zmiany in plus.

Jak dotychczas wszystko w porządku, nikt z zażaleniem nie staje, tembardziej, że kawa na śniadanie przypomina nam dawne dobre czasy... Optymiści mieli rację, przyjęcie odbyło się na gorąco. Potwierdził to jeszcze obiad — zimnych dań wogóle nie było.



W podtarnopolskich śniegach

„Długim
rzędem”



fof. Frontczak

Wędrowka po mieście nie trwała długo. Już po godzinie spotykamy się w punkcie wyjściowym, okazuje się bowiem, że tu podobnie jak w Rzymie, wszystkie...2 drogi a właściwie ulice jakie spotyka się nawet w większych miastach, prowadzą do koszar, jeżeli nie 41-go pułku to do innego: szwoleżerów czy daku.

Wracamy więc do koszar, gdzie oczekuje nas już korpus oficerski pułku. Ustawiamy się w dwuszeregu w salonie Kasyna pułkowego — na środku dominuje wielkich rozmiarów portret Marszałka z błękitną wstęgą *Virtuti Militari* i liściem laurowym. Do tych laurów kiedyś i my mamy dorzucić dalsze...

Stoimy wyciągnięci w długim szpalerze. Nasza „opieka” z Grodna por. Schmidt Waclaw, udziela jeszcze ostatnich rad, byśmy zrobili „dobre wrażenie” — choć my tego jesteśmy pewni od początku...

Jeszcze chwila i wchodzi ppłk. Wolanek w zast. nieobecnego d-cy pułku — serdeczny uścisk dłoni i zaproszenie na uroczysty obiad. Gospodarze dbają byśmy się dobrze czuli, rozdzielają nas jak interesujące panny przy stole no i zmuszeni są odpowiadać na szereg dręczących naszą ciekawość pytań — dręczyć też przyrzekają, że nas nie będą — zobaczymy...

W trakcie obiadu wita nas pułkownik serdecznym przemówieniem, czerpiąc z historii pułku przykłady wielkiego męstwa, jakimi żołnierz 41-go pułku w bojach się odznaczył — w imieniu kolegów, że *przyszły podchorąży Pułku suwalskiego będzie wzorem zalet żołnierskich i godnym synem pułku, którego szefem jest ukochany Komendant.*

Toasty na cześć pułku i naszą potęguje serdeczny nastrój. A koleżeństwo w pułku suwalskim jest podniesione do godności tradycji, której nie wolno uchybiać...

Te kilka chwil pogłębia nic i sentyment jakie nas łączyły z pułkiem. Wielkie chwile pułku stają się odtąd naszą własnością — rozumiemy spływający na nas honor ale zarazem czujemy lęk czy sprostamy tym wszystkim wymogom, jakie się przed nami od dziś z jakże silną wyrazistością rysują... Tego samego dnia w nocy pełni ciekawych przeżyć i refleksji znajdowaliśmy się w drodze powrotnej do Grodna... Za nami zostało miasto pełniące czujną straż w ciekawym zakątku Rzplitej...

Strzel. z cenz. W. Zacharjasiewicz.

Grodno.

"OTRZĘSINY" W BYDGOSKIEJ SZKOLE PODCHORAŻYCH



Komendant Szkoły
Plk. Schwarzenberg-Czerny Bolesław.

chciałem sobie psuć spodziewanych rozkoszy przedczesnym oglądaniem numerów. Cierpiałem ogromnie! Ale przezwyciężyłem się i za opuszczoną kurtynę nie zajrzałem.

Bohaterstwo moje polega na tem, że miałem okazję do wkroczenia w akcję in statu nascendi, bo łączą mnie bliskie stosunki z zawodowym kurtyniarzem Zygmutem. Nasza przyjaźń datuje się jeszcze z kadencji mego szefostwa, t. j. od czasu, gdy dałem mu porządne O. P. R.

Pozwolę sobie na małą dygresję. Zacząłem bowiem od rewji, nie mówiąc, co to jest. Ktośby pomyślał, czytając nasz organ, że chodzi tu o przegląd oddziałów, defiladę i t. p. rozkosze naszego zawodu. Nic podobnego.

Nasza rewja tem się tylko różni od „Morskiego czy Perskiego Oka“, od „Qui pro Quo“ lub „Bandy“, że ma rodzimy humor, rodzimych autorów i że w reprezentacji płci pięknej stosujemy samowystarczalność (w związku z obcięciem). Acha, jeszcze, jeszcze jedno! Z wymienionymi teatrykami mamy to wspólne, że również nie uznajemy żadnych zniżek od cen biletów. Nawet za okazaniem legitymacji prasowej „Podchorążego“.

Wjście jest bezpłatne za zaproszeniami.

Rewja dzieli się na część zewnętrzną i wewnętrzną. Pierwsza — to misterjum sięgające korzeniami mitów związanych z Olimpem, z szeregiem alegoryj i symbolów przedstawiających przeżycia psychiczne kandydata do Szkoły.

A są to przeżycia dość ciekawe i skomplikowane. Pierwszem uczuciem jest

Rewja, rewja... Nie było w szkole takiej izby, gdzieby jej huk nie doszedł. Takby powiedział kolega Kazio, gdyby w okresie tworzenia jej wogóle co powiedział.

Do ludzi snujących się po korytarzach w ciemnych flandach (dla lepszej wymowy i jaśniejszego wyrażania się zwanych przez nas kaloryferami) do kolegów, skądinąd chłopów dobrych z kościami, niebezpiecznie było podchodzić.

Im bardziej zbliżał się dzień 23 listopada, tem atmosfera wyczekiwania stawała się gęstsza.

Jako smakosz z urodzenia nie

chęć dostania się w nasze mury, chęć początkowo mglista i powiewna. Powoli przeradza się ona w postanowienie i plan pracy przygotowawczej, żmudnej, prowadzonej w dość trudnych warunkach służby zawodowej.

W miarę, jak termin egzaminów konkursowych się zbliża, rodzi się nowe uczucie, mniej pochlebne od poprzednich, choć bardzo naturalne i ludzkie — uczucie strachu i niepewności.

Wreszcie wrzód pęka i w zależności od tego, czy kandydat przejdzie przez ucho igielne, czy też odpadnie, następuje odprężenie — radosne lub apatyczne.

Rewję urządzamy dla tych, którzy się szczęśliwie wśród nas znaleźli. Jest ona symbolicznym przyjęciem najmłodszego rocznika do grona podchorążych i jednocześnie zbiorem rad i wskazówek podanych w formie humorystycznej lub alegorycznej.

Nie chcę przez to powiedzieć, że młody podchorąży jest pozbawiony moralnej opieki i kierownictwa poza nami. Tylko, że nasze uwagi są owocem własnych, świeżych a niejednokrotnie aktualnych zupełnie przeżyć i doświadczeń.

Najczęstszym zjawiskiem spotykanym u nowicjusza jest początkowo zbagatelizowanie sobie leżących przed nim zadań. Dość często uważa on, że przez przebycie ciałnin egzaminów, spełnił swą powinność i dalszy pobyt w Szkole uważa za oczekiwanie na upragnioną gwiazdkę, oczekiwanie, które należy mniej lub więcej mądrze kontynuować.

Zdarza się również, że pracować chce, lecz nie umie i osłabia swą produktywność obawą przed piętrzącymi się trudnościami. Czasem myśli o zupełnie ordynarnej rejteradzie lub inaczej mówiąc o zmianie stanowiska do tyłu.

Te wszystkie momenty inteligentnie przewidzieli autorzy rewji, żadnego nie pominieli, na wszystkie dali odpowiedź.

Z powodów czysto technicznych nie mogą dać pełnego sprawozdania tego widowiska, lecz je tylko naszkicują.

Największą atrakcją pod względem dekoracyjnym sprawiła nam natura. Oblekła bowiem ziemię na dzień 23 listopada w białą koszulkę pierwszego śniegu i kazała jej w tej godowej szacie czekać już od rana na oblubieńców.

Dowódca Baonu Szkolnego
mjr. Boehm Stanisław.



Kpt. Zaremba Felician, wykładowca języka i literatury polskiej.



Najmłodsze roczniki trzech rodzajów broni zebrały się tymczasem w jadalni na „wieczerek“. Menu było dość niesamowite. Na czystej bieli obrusów pieprz, sól, ocet, bobkowe liście, papryka.

Trębacze konni w zbrojach średniowiecznych zagrali na alarm. Gdyby nie zamknięte i zatarasowane drzwi wiodące do jadalni, to możliwe, że wyjście nie byłoby trudne. Nie powstrzymało to jednak delikwentów od karnego i szybkiego stawienia się na zbiórkę w pełnym rynsztunku.

Oddziałami raport. Przemówienie dowódcy całości, którym na ten czas został najmniejszy wzrostem ze Szkoły z najdłuższą szablą i adjutantem największym przy szablach krótkiej.

W czasie widowiska szereg iluminacji oraz rakiet i petard. Publiczność przeniesiona wyobraźnią w świat baśni zapomniała o chłodzie wieczoru.

Defilada przed przybyłym z Olimpu Marsem z chorągwią przez niego wręczoną zakończyła część zewnętrzną. Teraz goście i domownicy wypełnili szalenie ogromną salę rycerską Szkoły.

Część sali zajęła scena pomysłowo pod względem technicznym pomyślana, w ustawianiu której mamy szaloną wprawę, i trwa to dużo krócej niż alarmowa zbiórka w pełnym rynsztunku.

Wiem, że wyrządę krzywdę pyskaczom, to jest po polsku konferencierom, oraz autorom i aktorom poszczególnych numerów, że ich tutaj nie wymienię, ale musiałbym z kancelarii ogólnej wziąć wykaz uczniów Szkoły i wypisać co drugie nazwisko.

Dość, że było po żołniersku wesoło, w miarę sentymentalnie, barwnie i melodyjnie.

Sceną specjalnie udatną była jednoaktówka „Kujony“.

Koledzy! Nie szukajcie przedstawicieli tych stworzeń w zoologii ani tem mniej w botanice. Są to bowiem nasi najbliżsi towarzysze niedoli, którym czasu nie wystarcza na naukę w godzinach wyznaczonych i po pozornie szczerem odśpiewaniu modlitwy: „Wszystkie nasze dzienne sprawy“ idą na „golgotę“ — na sprawy noce. Kują. Czasem piszą listy niecierpiące zwłoki, a więc miłosne. Czasem popełniają artykuły do „Podchorążego“.

Finałem była galerja figur wojskowych. Pomysł sam, jak i wykonanie przeszło nasze najśmielsze domysły i oczekiwania. Tego jeszcze u nas nie było.

Przesunęła się przed widzami galerja ludzi, którzy nas przez cały boży rok prowadzą jak chcą. Mogliśmy sobie choć raz użyć i kierować ruchami bodaj ich wizerunków wielkości naturalnej. Mogliśmy coby naprawdę anonimowo z poza sceny przysypiewać na tematy aktualne.

Nie pominięto nikogo. Korowód rozpoczął sam Pan Komendant Szkoły, a za nim radzi nie radzi przesunęli się wszyscy przełożeni i wykładowcy.

A propoz przesunęli się, muszę zaznaczyć, że doty-



Kpt. Czudzikiewicz Antoni, Prezes Sekcji Szybowcowej Szkoły.



1. Dowódca Szwadronu Szkolnego, rotm. Kryński Wacław.
2. Dowódca 1-go Plutonu, rotm. Przeradzki Stefan.
3. Dowódca 2-go Plutonu, rotm. Hollak Jerzy.

czyło to tylko broni głównych. Przedstawiciel miejscowego lotnictwa szybowcowego wylądował z cekaemem na „Czajce“ i następnie rozentuzjzmowanej publiczności znikł z oczu w obłokach.

Świetnym wykonawcą figur o portretowym podobieństwie jest pchor. Ciesiał. Tyle odnośnie do wrażeń ze sceny.

Ponieważ humor na rewji, tak jak apetyt w czasie jedzenia wzrastał, więc go też nie mogło szybko zgasić ostatnie opuszczenie kurtyny.

Krótko mówiąc widownia zamieniła się w salę balową i towarzystwo, dzieląc się pomiędzy bufet i tango, spędziło w świetnym nastroju godzin kilka.

Kiedyś do tradycji rewji zewnętrznej należało „odznaczanie“ medalami za niezbyt pochlebne, a źle ukryte skłonności nowych przybyszów, jak obżarstwo, wazeliniarstwo i t. p. kwiatki. Przyjmowało się te wyróżnienia z humorem gwoli pokrycia przeciwnego nastroju. Przy dekoracji nie zawsze bowiem trafiano w sedno rzeczy.

Tym sposobem i ja w okresie podchorążackiego ząbkowania dostałem medal „Pawia“, choć z ptakiem tym, pomijając już brak barwnego ogona, nie mam nic wspólnego. Skromny jestem i z urodzenia i z przekonania i z konieczności, bo mnie już w życiu nieraz ukarano za zbytne zadržanie nosa.

Rewja, którą pokrótce opisałem, pierwsza zerwała z tym zwyczajem ku ogólnemu zadowoleniu.

Już teraz nie trzeba po przyjeździe do Szkoły udawać najpierw wstrzemięźliwego w jedzeniu, aby na trzecim roczniku opróżnić dwie wazy zupy i półmisek klusek.

Pchor. A. Ostaszewski.

LIST Z BYDGOSZCZY

Na manewrach zimowych. — Świetlica zbliża i łączy strzelców z cenzusem. — Sukcesy sportowe.

Czterodniowe ćwiczenia pozostawiły moc wspomnień i wrażeń. Emocja płynąca z ćwiczeń zakrojonych na większą skalę oraz refleksje jakie wzbudziły swojskie warunki utrwały się silnym piętnem w umysłach przyszłych podchorążych rezerwy.

Wśród bieli śniegów, w czystej atmosferze zimowej posuwała się kompanja strzelców z cenzusem.

Szła walczyć i łamać nieprzyjaciela — oczywiście pozornie przysposobionego. Z marszu podróznego rozwinięto się w marsz udeźpieczony, a potem przy zetknięciu się z wrogiem w długą linję tyraljery. Karabiny maszynowe i kbk ostrzeliwują i krwawią przeciwnika. Wracamy na szosę.

O zmierzchu następuje odpoczynek w którejś z wiosek kujawskich. Działwa i lud obległy salę chcąc zobaczyć bojo-wo usposobionych podchorążaków.

— Wcale nie są tak groźni!
— A jak śpiewają! To aż ha!

Oto głosy podziwu i zachwytu dla młodej armji, która w żywiołowym pędzie naprzód przemierzała wieś, osady i miasteczka. Humor i żywa piosenka nie schodziły nigdy z ust. Każdy biwak przeobrażał się w ustawicznie czynną „wesołą falę”, w której przewodził czołowy pluton pierwszy.

Naturalność życia i koleżeństwo panujące w całym kursie, stwarzały podatny grunt dla zawarcia stałej przyjaźni. Przyjaźń ta niechybnie trwać będzie jeszcze długie lata po ukończeniu służby wojskowej.

Ćwiczenia zimowe były istotnie sprawdzianem naszej gotowości bojowej, a rezultaty ich zdumiały nas samych. Zdaliśmy egzamin celująco.

„Gdy po ćwiczeniach wolny mamy czas” to z radością wchodzimy do świetlicy. Nasza świetlica to dwupokojowy,

miły lokal, wyposażony w aparat radiowy, gry towarzyskie i prasę. Ściany są ozdobione pięknym ornamentem kaszubskim (na Kursie jest wybitny odsetek Pomorzan). Na postumencie rzeźba Wielkiego Marszałka. Ciepła i serdeczna atmosfera świetlicy sprawia, że wieczorem jest w niej rojno i gwarno.

Oprócz pism codziennych i wydawnictw wojskowych z „Polską Zbrojną” i „Podchorążym” na czele, zarząd Kasy Brackiej Kursu zaprenumerował ostatnio szereg tygodników ilustrowanych, cieszących się wielkiem powodzeniem wśród czytających.

Bydgoska Podchorążówka poszczycić się może bardzo poważnymi rezultatami w dziedzinie sportowej. W jedną z niedziel lutego rozegrany został mecz w koszykówkę z mistrzowską drużyną Pomorza K. P. W. Toruń, przynosząc zwycięstwo reprezentacji Kursu w stosunku 26:23 pkt.

Również w lekkiej atletyce i wioślarstwie Kurs posiada asów, którzy niejednokrotnie będą mogli wykazać wysoki poziom wyrobienia sportowego braci podchorążackiej.

Strz. z cenz. Nuszowski

„WŁODZIMIERZ PIĘKNE MIASTO”



„Włodzimierskie błoto”

fol. Olańczuk

Obrady komisji budżetowej skończone — preliminarz fatalny, w kieszeni mam 2 zł. 50 gr., a drodzy wojskowi dłużnicy — już jutro, zapewniali, zwrócą.

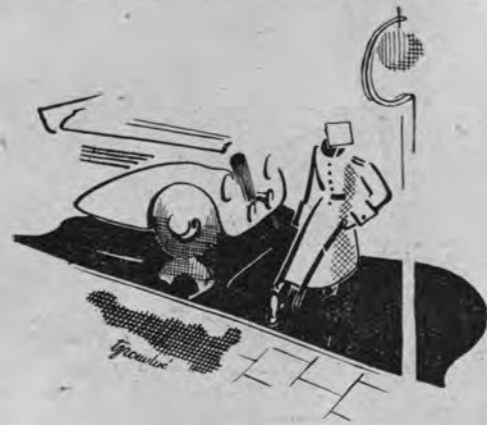
Poprzedni tydzień przeszedł pod znakiem żałoby. Zmarła Margita. Margita, to nie dziewczica żadna — to jedna z najstarszych, lecz pięknych klaczy. Zmarła na posterunku — ćwiczeniach garnizonowych. „Sprawca” — aczkolwiek mało był winien oplakiwał gorąco tę stratę. Pienia żałobne w wykonaniu 10-tej bat. (bateria lekarzy wet.) nie przebrzmiały jeszcze nad mogiłą Margity, kiedy ponuro i słotnie zaczął się nowy tydzień. Okazało się z miejsca, że karabin, nie moja wina, zarządzał, bo z wrodzonego wstrętu do wazeliny i rozstargnienia nie swój nawazelinowałem, tak szpetnie podpadłszy siłą rzeczy brnąć musiałem w feralny nowy tydzień.

Za koszarami — bujne, zbałwanione morze błota, a na niem korsarze buńczuczni to znaczy — my uczniowie n — tej bat. Jako że podmuch niezgorszy no i wzmożone oczywiście działanie lotnika, więc raz po raz zapoznają się nosy nasze z płynną masą, która stanowiła ongiś w lotnich miesiącach nawierzchnię naszej ujeżdżalni. Za chwilę odchodzi tamże b. z. (bateria zaprzężona), bez koni..., uprząż...,

hasamy tak po parku artyleryjskim, zaiste piękny park — błoto i sadzawki brudnej zamulonej wody.

Wracamy troszkę pomieszkać do koszar. Wzywają mnie, mam paczkę (świat jest piękny) i pieniądze (i mówią, że źle jest w wojsku) ach prawda wszale (co za miłe słowo) to moje urodziny, skończyłem wiosen 19-cie. Już lecę do kancelarii, aż tu pieszczotliwe nawoływanie „a wy lumpy szkaradne, aniołki kosmate, wały piekielne, jeszczeście nie są na zbiórce do kina”. No i masz babo placka, własnych rodzonych urodzin obchodzić nie możesz, bo na ochotnika do kina iść musisz, na „Paradę rezerwistów”. Niebosiężne drapaczki chmur włodziemskie, ryk syren i gładki asfalt, to wrażenia z drogi do kina — świątynia 10-tej muzy — a tam jupiter, muzyka, 3 bataljony piechoty, 2 dyony art. lekkiej i 10 baterji S.P.R.A. Jak się bawić to się bawić. Co 10 minut przerwy, aby zgłębić można było fabułę filmu.

Wróciłem no i cóż temu winien jestem, że godzinę po wszystkich. Tłumaczę się, zgubiłem baterję, no to siadajcie sobie „prosi pan szef, czekałem tak długo — zmarłem i nikt mnie sieroty nie zawołał”. „No to zagrzejcie się 10 razy dookoła budynku biarsz”. „Panie szefie melduję że to moje urodziny dzisiaj”, „Wszystkiego najlepszego — 20 razy dookoła biarsz”. Byłbym tak do capstrzyku chyba bez zatrzymania biegł, gdyby nie to że właśnie spotkałem kolegę, do którego właśnie ważny interes miałem. Szef wyszedł z za węgla i zlitował się zapewne nade mną biedactwem...



„asfalt i ryk syren”



„pomyliłem Kalinówkę z Marcelówką”

tylko, że kiedy prawą stroną sprząając wymiotłem śmiecie na lewą, nie zauważyłem, że mój niewdzięczny towarzysz taką samą urządził sobie przyjemność. Niemoja też jest wina, że jako zamulowany turysta, stale mam karpaty na łóżku.

Obciąłem się w środę z działocznów, bo doprawdy nie wiedziałem gdzie na celowniku znajduje się okienko z okiennicą na klucz do korka śrubowego otworu spustowego zawory sprzęgła tłoczyska oporopowrotnika. Pomyliłem zapewne z kątomierzem, bo pan porucznik powiedział, że zmniejszy mi na 3, a to wszystko dlatego, że wczoraj zamiast siedzieć w koszarach i uczyć się poszedłem do teatru wołyńskiego na „Powrót mamy”, no i cóż temu winien jestem znowu, że ja tak bardzo chcę do mamy. Topografia posłała mi prawie wyśmienicie, pomyliłem tylko tryg. wsch. z zach., odrobinę 500 m., przecież gorzej byłoby gdybym zamienił Marcelówkę z Kalinówką (co za zbrodnia).

Szczerze uradowała mnie wieść, że zjechała do szkoły Rewja — rzekomo artyści scen lwowskich. Zapowiedziałem kolegom, że to moi znajomi zapewne. Sala była nabita, dowcipy subtelne i... aryjskie, zespół liczny i reprezentatywny. Szczególną uwagę zwróciłem na uzębie. On — dyrektor... sufler, artysta, dekorator, konferencier, kochanek i ciemny typ w jednej postaci, miał wyraźnie oksydowane siekaczki, a jego koleżanka o nieprzyzwoicie do niego podobnym nazwisku pościerane miała wszystkie rejestry. Mój sąsiad tak rzewnie gwizdał, program był urozmaicony zaiste, a zgranie z publicznością niesłychane, co dowcip to grupa ludzi opuszczała widownię. Wieczorem koledzy szczerze gratulowali mi tak wyśmienitych znajomych.

Bardzo się cieszę gdy nadchodzi piątek, dzień. K.K.O. Najlepiej prosperuje sekcja „deko” i wogóle wszystkie sekcje zebrania mają w kątynie, kakao wszyscy bardzo lubimy.

Grunt jednak, że karnawał w pełni. Piękne panie i wytworni panowie szaleją w takt jazzu, szampan tryska kaskadami, poszedłem i ja na zabawę towarzystwa św. Zyty w Włodzimierzu. Jazz był urozmaicony; bas; trąba strażacka..., flet i fisharmonja oto wyborowy kwartet. O tyle do wielkowiejskiego podobny, że też nie aryjski. Moja danerka przepiękną miała, lila w czerwone groszki suknię. Właśnie kiedy trząsem nią w takt jakiegoś włodziemskiego

„rozbiłem azymut i zgiałem stałą linię przezierania”



głos mu... dziwnie, że wzruszenia pewnie się załamał i przyrzekł solennie, że pójdę sobie na tydzień posiedzieć — no odpocznę przynajmniej. I wszystko byłoby pięknie, gdyby nie wtorek — djabli go nadal, trzeba mieć przeciw nielada zaślugę, by na tydzień cały nominację na sprząającego otrzymać i to za to

wył i zacząć odwrót. Siadam tedy w dorożkę i powiadam do zaspanego w liberji woźnicy, jedź pan jak szatan „nu ja już wim jak panowie podchorążacy jeżdżą”. Zaciął biczyskiem i... a wóz stoi. Nie zaprzął łajdak koni. Krzyknął, wróciły potulnie niezem baranki. Ruszyliśmy. Pytam, panie mistrzu, a ile lat mają te chabety, „nu panie podchorąży dopiero co 5 skończyli”. Spał bestja przysiągłbym, że powstanie styczniowe pamiętają.

W bramie koszar pan ogniomistrz powiedział „żebyś poszedł gdzie pieprz rośnie, dopiero wtedy połapałem się, że żegnając się z rozmownym woźnicą czapkę w dorożce zostawiłem.

Wczoraj znowu bez grosza zostałem. Kolega ze łzami w oczach podszedł i zapewniając, że grozi mu wyrzucenie do ćwiczebnej baterji, o ile stałej linii przezierania nie odkupi. Oczywiście pożyczylem mu, zwłaszcza że przyrzekł złożyć jedną, że jak ja np. dziurę w azymucie zrobię, to on napewno mi wówczas zwróci. No ale nie jestem już sprząający w działonie tylko znów za karę przez tydzień na sali wykładowej, bo czy moja w tem wina, że właśnie... po capstrzyku (spocę się nim to słowo prawidłowo wymówię) robiliśmy zajazd na działonowego, by dać chłopcu koca — zjawiała się inspekcja. Tydzień jednak zakończył się pomyślnie, pan szef zapytał mnie, czy ja „aby jeno” za czystych butów nie mam. Taki zaszczyt spotkał mnie w wojsku poraz pierwszy, nie no chyba za czyste one nie są.

Horoskopy na przyszłość wyborne, nad czarnem błotem „kochanego” placu ćwiczeń zwisają zwiastuny nowej ery w S.P.R.A. — wspaniałe megafony. Oj, zagrają nam teraz maluczkim zagrają.

Z miasta rodzinnego piszą „Nasz złoty bohaterze” (cóż to za szarża znowu — złoty bohater).

I kto tu ośmieli się twierdzić, że życie nasze w Włodzimierzu mało jest urozmaicone.

S.P.R.A.

Bomb. z cenz. J. Serski

„NARTY SPARTY”

(Z cyklu: Kronika Sparty).

Ktoś powiedział, że artylerzysta może nie umieć ani chodzić, ani jeździć konno, bo nie jest ani piechurzem, ani ulanem. Ktoś to podsłuchał.

A jakież gorące są oczy podchorążych ze Sparty, gdy głowy ich płoną, serca goreją, a zamiary są niezem wulkany. Gdzie spojrzą wszystko taje. Smutek na twarzy dziewczęcia. Mars na czole egzaminatora. Śnieg w najdłuższych zakątkach Tatr. Z takimi oczami nawet nie można marzyć o bob'ach, skjöringach, czy nartach. Po zaprawie pozostał tylko jeden, jedyny widomy znak. Kolana wrzód wygięte przed palce nóg.

Białe marzenia ustąpiły miejsca rzeczywistości. Nie szarej coprawda, jak zwykli mawiać abnegaci życiowi, ale barwnej i zmiennej jak kameleon. Parada arkuszy obliczeń, wcięć na gwiazdy — te zwykle, niebieskie, a nie filmowe — wzorów interpolacyjnych, łóż sżywnych i planów ogni. Radosny, wtórny zapał. Jeden zdystansował Roussille'a nowym układem, drugi obalił wszystkie równania z Gávres, co było pośrednim powodem, że oblał się z balistyki, a Kajtek wynalazł tak wspaniałe skombinowany arkusz, że nawet najlepszym topografom, z którymi Krupka mógłby być na ty, powstawały włosy dęba na głowie. Pech chciał, że z tym wypadkiem zbiegł się przegląd włosów. Jak wiadomo szczerokowate nakrycie czaszki wzbudza zawsze podejrzenia co do długości uwłosienia. Dziś jest trochę jaśniej.

Klasa „ce” wykopała tomahawek zakopany przed laty na ścieżce wojennej prowadzącej do klasy „be”. Powodem mała grecka literka: ω. Jedni mówią, że to „omega”, drudzy nazywają ją „małym pi”. Dyskusja przeszła w polemikę i przybrała takie rozmiary, że wzięła w niej udział nawet przedstawicielka pięciopięknej, zresztą zdecydowanie opowiadająca się za „pi”.

Nagle padł grom. Zapowiedziano przegląd wyszkolenia pieszego. Błady strach legł na obliczach i tak pobladłych spowodu rzadkiego wychodzenia do miasta i zlej przemiany materji. Zastosowano doraźne, skądinąd radykalne środki, kładzenia szafek nocnych na kolanach. Wszystko bez skutku. Narciarskie nałogi nie dadzą się tak łatwo wykorzenić, zwłaszcza jeżeli uwzględni się ilość trudu włożonego w celu zaszczerpienia ich.

Na starszym roczniku podwyższono wysokość przeszkód o dziesięć centymetrów, w związku zczem szef podwyższył ilość dekad, z których ściągają składki na fundusz. Oburzenie konj jednak jest niewspółmiernie większe niż nasze. Nam można wytłumaczyć — ostatecznie — w mówić wreszcie, im można najwyższej wbić ostrogami. Silna wola jest jeszcze mocniejsza od ostróg. Z drugiej strony dochodzi się do tak fenomenalnej, cowbojskiej wprawy, że jeden z podehorzących chce w najbliższym czasie zabrać się do ujeżdżania krowy i wystąpić na niej w Nicei w konkursie potęgi skoku. Sparta ręczy, że padnie nowy rekord.

A ów dzień zbliżał się wielkim krokiem. Rozplomienili się wschodem, wypadł z dołków, runął jak wicher, coraz prędzej, prędzej... odbił się elastycznie od ziemi i złamany w powietrzu spadł ciężki, niezdarzy trując spłżowemi stopami wszystko. Czekały w niedzielę piękne Toruniańki pod latarniami i mniej drastycznymi przedmiotami na umówione godziny. Czekały i odeszły, niosąc w sercu nieuzasadniony żal do nas. Narciarskie kolana nie dały się przerobić na „zajęcze”.

Piękna i wzniosła inicjatywa rzuciła projekt umieszczenia w murach Sparty marmurowej tablicy dla uczczenia pamięci ostatniego z tych, którzy wychodzili do miasta. Niestety ten ostatni zarozumiały, dumny jak paw, napęczniały przyszłą sławą, dla podkreślenia swej indywidualności podrywał się o sekundę później niż zwykli śmiertelnicy na komendę: bacność, co go pozbawiło aureoli, natomiast obdarzyło paroma tygodniami „zetoka”.

Jest źle. Nawet radosna nowina o dwutygodniowej praktyce w pułkach, nie wywołała spodziewanego wrażenia. Zresztą zaraz za nią nadeszła miłobowa wieść (znajomy wujka ojca przyjaciela jednego z braci narzeczonej kolegi ma stousunki w MSWojsk.), że we wszystkich większych garnizonach



wybuchła nieoficjalna epidemia tyfusu. Wjazd osób wojskowych do tych miejscowości ze względów zdrowotnych został wzbroniony. W związku z tem praktyka odbędzie się tylko w pułkach, stacjonujących w miejscach o charakterze uzdrowiskowym, kurortach jak: Pruzana, Ostrów Mazowiecka, Mołodeczno, Kamionka Strumiłłowa, czy Podbrodzie.

Codziennie rano w szyku zwartym odmaszerowuje do wizyty lekarskiej oddział indolentów fizycznych. Na oddział chirurgiczny w celu przekręcenia kolan o 180°. Są nawet kandydaci do ambulansu wet. Ale jest lepsze lekarstwo. Musztra piesza. Dwadzieścia minut przed jedzeniem i dwadzieścia po. Przed użyciem wstrząsnąć. Rezultaty przechodzą najsmielsze oczekiwania, bo posiłków jest cztery. Czasem tylko komuś chlupnie woda w kolanie.

Toruń bawi się dobroczynnie. Sobota — sześć bali Kół Opieki, Towarzystw Przyjaciół, Związków Ochrony; trzy dancingi mecenasów, filantropów i ludzi o gołębih sercach. Szlachetni obywatele upijają się na rzecz biednych dzieci, męczą się całonocnym dreptaniem po śliskim parkiecie dla bezrobotnych, dwa ostatnie dni tygodnia spędzają poza domem dla podkreślenia swej solidarności z bezdomnymi. Wszystkie orkiestry zamówione na dwa tygodnie zgóry.

Spóźnili się Spartanie kilka minut. Początek sobótki o dziewiątej. Orkiestra o jedenastej. Dwie godziny pod znakiem zapytania głośnika radiowego. W celu zdeзорjentowania gości i niepozwozenia na wycofanie się, kasa została umieszczona na środku jezdni, dokąd oczywiście dźwięki orkiestry nie mogą dochodzić. Piętnastu gospodarzy, dwunastu członków komitetu, oraz dwudziestu siedmiu zastępców gospodarzy i członków komitetu najpierw oznajmiało, że orkiestra je kolację, a potem odpowiadało na pytanie: „gdzie są podchorążowie”. Znikli w tłumie pań.

Trudno wymagać, żeby ci ze szpetnymi kolanami mogli tańczyć publicznie. Trzeba galaretę zmienić w stal.

Natomiast w kasynie ogólny aplauz i niekłamany zachwyty wywołał jeden z mazurzystów, przyklekający i nie na kolanie, a na zakolaniu.

A po korytarzach Sparty sunęło sto par poloneza. „One” i oni w chasserach i wiatrówkach. Humor i werwa, dystynkja jak na dworze króla Stasia. Potem zjedli czterysta szneków z glansem, dwie porcje wojenne chałwy i oświadczyli gremjalnie, że na żadne sobótki nie mają zamiar uchozić.

W kasynie królowała „markiza”. Dziewczę w szafirowej toalecie, prawie greckim profilu i zupełnie greckiej fryzurze. Z wdziękiem i maestrją godną Grudzińskiej trzymała prawą ręką w tańcu fałdy sukni. Przylem mały palec miała lekko odchyłony. Sprawiała wrażenie żyjącej figurynki z saskiej porcelany. Nawet pod względem naiwności. Gospodarze biegali, każdy miał coś niezmiernie ważnego do załatwienia. Edzio wrował, niczem ziemia dookoła słońca, błyskał zębami i oczami, strzepywał niewidoczne pyłki z munduru i opasany szeroką szarfą zabotu przysiadł koło mamusi. Karpka miała dzień pod dobrą gwiazdą.

A kolana zmieniły się w stal.

— Co?!!!

Służbowy w stajni odmroził uszy. W Wilnie dwa pięćdziesiąt śniegu. W Worochcie odłożono konkursy narciarskie ze względu na nadmiar śniegu. Toruń poraz pierwszy od kampanji moskiewskiej Napoleona okrył się białą płachtą. Wiadomości zupełnie pewne (znajomy wujka przyjaciela ojca...). W końcu maja odbędzie się kurs narciarski dla Sparty. Podobno w Jastarni.

A wiedzieć wszystkim trzeba:

Artylerzysta musi lepiej chodzić niż piechur, a lepiej jeździć konno niż kawalerzysta, bo nie jest strzelcem, ani ułanem.

Toruń SPART

pchor. Z. Zajączkiewicz.



BEZ ŚNIEŻNE WSPOMNIENIA

Reportaż z I połowy Kursu Narciarskiego w Worochcie, III roczn. S.P.L.

Zaczęło się anormalnie!

Zdradzono staropolską zasadę—jakoś to tam będzie...

Na 2 tygodnie przed terminem rozpoczęcia kursu, wszystko doskonale pasowało i nie nikomu nie brakło, oprócz spokoju...

Nawet narty, poza normalnymi zabiegami—konserwacyjno-kosmetycznymi, kazano posmarować z góry — smarem zjazdowym.

Skoro miał być kurs — śnieg być musiał...

To nie ulegało żadnej wątpliwości.

Nastrój był — przedodjazdowy.

Wreszcie przyszła ostatnia sobota...

Przed wyjazdem, a jakże tradycyjna musztra i piechota odbyły się co do minuty normalnie.

Deszcz padał — też normalnie.

Wieczorem, samochodami odwieziono nas na stację.

Lało jak z cebra.

Resztki śniegu — spostrzegane tu i owdzie rano podczas „piechoty” — zniknęły bez śladu.

Pojawiły się za to małe i duże kałuże.

Pociąg nadszedł.

Z góry zajęty dla nas wagon, okazał się bardzo dokładnie zajęty...

Ostatnie namaszczenia i życzenia trzymania się zbiorowego, okazały się niewykonalnymi.

Rozpierzchliśmy się po całym pociągu.

Ubrani w wygodne stroje narciarskie, czuliśmy się swobodnie i doskonale.

Kłanialiśmy się znajomym na prawo i lewo czapkami z przesadną gracją.

Poprostu bawiło nas to kłanianie się po paroletnim, wyłącznym przykładaniu 2 wyprostowanych palców do daszka nad prawym kątem oka.

A deszcz lał, jak z cebra.

Oddałem grąty pod opiekę i poszedłem na rozpoznanie.

Przecież nie można tak usiąść byle gdzie, tam, gdzie jest tylko wolne miejsce.

Trzeba się rozpatrzyć w sytuacji i możliwościach...

Poulman najwygodniejszy. Części z przedziałami łączonymi, nie ciekawe.

Coupé — oczywiście coupé — tylko żeby tak w przedziale... blondynka, szatynka, obojętne — byle dziewczynka.

Chociaż... może lepiej by blondynka, ale żeby za szybko wysiadać nie miała...

I tak przeszło godzin 10. Deszcz padał.

Pociąg się zatrzymywał i ruszał. Noc była.

Tu gadano, tam chrapano.

Konduktor użerał się od czasu do czasu do pasażerami którzy zrozumieć nie mogli, że przedział dla podróżnych z psami ma być pusty, jak psów niema, a pasażerom bez psa, wejść tam nie wolno!

Mogą sobie usiąść na walizce, mogą wreszcie stać na korytarzu.

Zresztą—ja wiem, co jeszcze mogą?

Przejechaliśmy Lwów. Kupiłem obowiązujący w tych stronach „Ilustrowany Kurjer Codzienny” i zacząłem przeglądać.

Imieniny... nie!

Gościowe nara... nie!

Inwestycje dro... nie!

W inwestycje dro... nie!

W inwestycje dro... nie!

W inwestycje dro... nie!

W inwestycje dro... nie!

W inwestycje dro... nie!

W inwestycje dro... nie!

W inwestycje dro... nie!

W inwestycje dro... nie!

W inwestycje dro... nie!

W inwestycje dro... nie!

W inwestycje dro... nie!

W inwestycje dro... nie!

W inwestycje dro... nie!

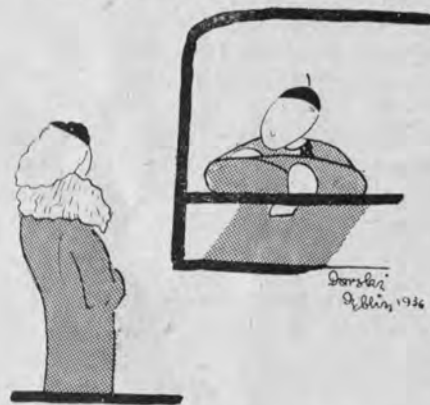
W inwestycje dro... nie!

W inwestycje dro... nie!



Nowa koncepcja osiedlenia żydów — o! stęknąłem boleśnie, czyż to możliwe, bym tego, czego szukam—nie znalazł. Przerzuciłem dalej gorączkowo. Jest! Nareszcie! Komunikat meteorologiczny P.I.M.'a. No, raz się udał. Pan Agapit Krupka, z parasolem trochę do deszczu, trochę do wiatru ze śniegiem wystawionym, — a obok tłustym drukiem, jako nadzieja niedalekiej przyszłości: Jaką pogodę, będziemy mieli w lutym? Pan Fr. A. Prengel, astrometeorolog z Bydgoszczy, nadysłał prognozę na luty. Przeczytałem 5 razy i wreszcie zrozumiałem. Niżę z wyzami, będą się przemieszały przez cały miesiąc i charakter pogody będzie niejednostajny, a krytyczne konstelacje, spowodują zaburzenie w polityce międzynarodowej. Czy będę w Worochcie na nartach — czy na kajaku czas spędzał — tego z komunikatu na luty, wynioskować nie potrafiłem.

Stanisławów — przesiadka i 40 minut czasu. Pociąg bezpośredni—ale czasem przesiąść się trzeba. Ha! — cóż robić? Jakaś modrooka blondynka mocno zaafierowana przebiega chaotycznie okna worochciańskiego pociągu. Odbywa wędrówkę już po raz trzeci.



Obserwuję ją z przyjemnością. Jest ładna i coraz bardziej rozczarowana.

Boi się, że nie znajdzie kogo szuka, że pociąg odejdzie...

Przegląda teraz co trzecie okno — by jeszcze raz zdążyć przejść długość pociągu — by nie mieć nic na sumieniu...

Żal mi jej. Napataczam się jej przed oczy, z widoczną chęcią pomocy. Intuicja kobieca chwytą w mig me intencje. Jest już mniej zrezygnowana...

Pyta mnie, czy nie należę do wycieczki mieszanej?

— Owszem — ale jakiej?

— Z Wilna.

— Do mieszanej tak, wmieszało się kilka pań po drodze.

— Kilku kolegów, jest pozatem rodowitymi Wilnianami.

— Okazuje się, chodzi jej o wycieczkę A.Z.S.'u wileńskiego.

— Pisano jej, że tym pociągiem napewno...

Jest znów rozczarowana.

— Proszę... niech mi pan pomoże odszukać...

Zgadzam się chętnie. Organizuję z kolegami poszukiwania. W 2 minuty cały pociąg jest dokładnie przetrząsnęty.

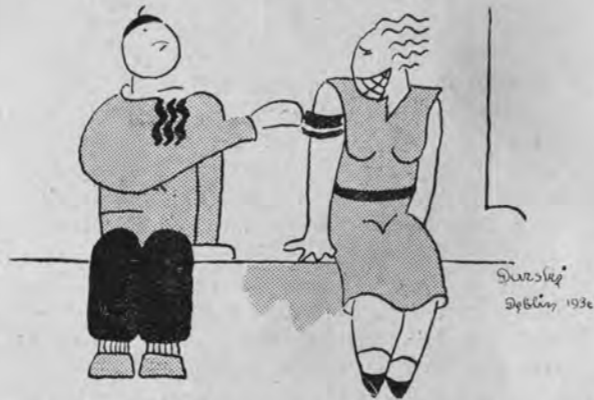
Chrypin — pociąg ruszył.

Kolega mój, góral zapamiętały, Janosikiem zwany, stroi jakieś dwuznaczne miny z korytarza, wywabiając mnie z przedziału. Wychodzę. Szturchnął mnie w łokieć z właściwą sobie tajemniczą miną i wskazał wewnątrz sąsiedniego przedziału. Widać w owym Chrypinie (ładna nazwa, mięciutka?) wsiadła niepostrzeżona, miejscowa oryginalność.

Rusinka pierwszej wody. Ruda jak wiewiórka. Młoda była i zgrabna. Mogła mieć 20 lat i trochę doświadczenia. Znajomość skleila się szybciej jak polska rozmowa.

— Dokąd jedzie, — do Worochty?
— Ta dzie — do Jaremczy.
— Tam mieszka?
— Nie, ale czas ma zawsze wolny...
Śmieje się od ucha do ucha, pokazując rząd równych, złotych zębów.
— Nie! — jutro nie może...
Siedzę cały czas milcząc i obserwując ich dwoje. Tajemniczość intryguje kobiety... zerka od czasu do czasu na mnie przychylnie, tłamsząc w ręku pasek od wagonowego okna.
Wreszcie pytam ją: a w Worochcie ładnie?
— Ładnie mówi, — wystawy ładne, magazyny.
Hm! — nie zaimponowała mi ani inteligencją, ani odpowiedzią.
— A góry ładne, zapytałem niezrażony, — takie jak tu?
— Ta dzie, mówi — to pan dojedzie do Delatyna, to dopiero będą góry.
Wyglądałem przez okno nie zwracając uwagi na ich rozmowę.

Doleciało mnie pytanie Janosika. Jak to się zdejmują? Zerknąłem dyskretnie — co oni sobie zdejmują?



Janosik usiłował podsunąć wyżej bransoletkę na rękę towarzyszki. Podsunął już ją nad łokieć, na mięsiste ramię — było mu jeszcze mało...

Gdy zawiła teoria dociekała zawodzi, gdy nauka rozkłada ręce i szepce cicho... o swojej bezsilności, pozostaje ostatnia, jedyna sztacheta ratunku, na imię jej — praktyka. Czasami bywa odwrotnie. Tak było u nas. Cała — caluteńka praktyka zawiodła. Śniegu w Worochcie tyle, co kot napłakał, gdyby kot śniegiem płakać zechciał.

Znalazłoby się go trochę, w podszytowych cieniowych kotlinach, ale cały ten górski „mob” nie wystarczyłby nawet, na 5 minut, skutecznego, zapamiętałego, młodzieńczego śnieżkowego ognia.

Dla narciarskich celów, śnieg był widzialnym, wymarzonem, — ale nieosiągalnym zjawiskiem.

Pozostały dwie jedyne możliwości: zgłębiać teoretycznie tajniki śniegu i rozważać możliwości, ewentualnego jego wykorzystania.

Nazywały się to: wykłady i suche zaprawy.

Suche zaprawy narciarskie bywają czterech rodzajów.

1. Teoretyczno-filozoficzna z pokazami lub bez. Z tej zaprawy nie przychodzi nie i nikomu. Męczą się wszyscy. Wykładowca pokazami, słuchacze słuchaniem.

2. Teoretycznie sucha — t.j. na suchej sali, ale w mokrych, od pseudo narciarskich wigibów, kostjumach.

3. Sucha w terenie i w powietrzu. Idzie się na sucho t. zn. bez nart po górach rzędem.

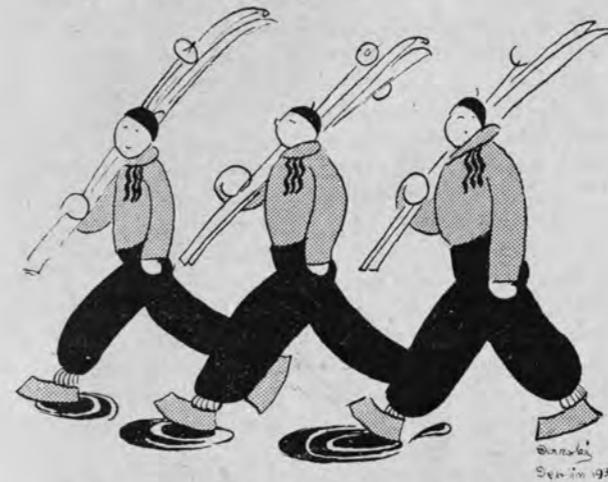
Charakteryzuje się tem, że pierwszy wyrwa jak opętany i zawsze mu pilno.

Ostatni zaś, ma bardzo dużo czasu, wszystko go obchodzi oprócz grupy, stale mu z oczu znikającej.

4. Sucha w założeniu, — a kompletnie mokra w praktyce. Taką zaprawę stosuje się w nagłych wypadkach, w określonych celach, na bezpośredni ustny rozkaz przełożonego.

Wędruje się w przemokłych butach, po błotnistym terenie w przemakającym kostjumie, podczas mniej czy więcej ulewnej deszczu.

Nasuwa się pytanie, — dlaczego tego rodzaju zaprawa w mokrych butach, w mokrym kostjumie, po mokrym błocie, podczas jak zwykle mokrego deszczu, — nazywa się sucha? Pytanie nie jest retoryczne.



Kto z doświadczonych taterników czytelników potrafiłby odpowiedzieć laikowi autorowi — proszę o nadesłanie odpowiedzi do redakcji.

Świeżo spadły z nieba na ziemię śnieg, nazywa się puchem. Puch jest to taki śnieg, co to dziś jest puchem, jutro puchem — pojutrze jak poleży nie nazywa się puchem. Osiałość ta może być sucha, lepka lub zwilgła. Pogmatwość poranków cieplejszych z chłodniejszymi stworzy z przyzwoitego osiadłego, szreń lub lodoszreń. Ścisłejsze podanie struktury szreń i lodoszreń zbyt byłoby zawiłe. Różnią się tem od siebie — że jedna się łamie pod naciskiem nart druga nie. Nogi łamie się równie dobrze na obu.

Gdy lepsze wiatry powieją, zmieniają dotychczasowe weselsze miejsca pobytu śniegu i zanoszą go w okolice spokojniejsze. Taki śnieg nazywa się gipsem.

Śnieg ziarnisty nasiąkając wilgocią — robi się kosmaty. Jest to śnieg bardzo nośny. Ewolucje na nim wychodzą doskonale — (o ile je kto umie).

Ostatnim — pospolitym rodzajem śniegu jest szron. Powstaje naskutek porostania mgłą patyków, patyczków i innych źdźbeł. W szybkim czasie rośnie lodowata trawa (zob. przewodnik Rostaf).

Narciarz rozpoznaje gatunek śniegu rano, z progno osiedla, obowiązkowo naczecz. Chwytą go pełną garścią i ścisną. Pod presją zaciskających się palców, śnieg zdradza swą konsystencję na dany dzień.

Pozostaje zastosość odpowiednią taktykę smarowania. Stara zasada. Kto smaruje ten jedzie... Wazeliną nart smarować nie wolno... Pozatem, smarów jest milion i jeden... Narciarz wybiera jeden i smaruje nim swoje narty, sposobem sobie tylko znanym. Są to tajemnice indywidualne, nawet

rodzinnymi stać się nie mogą. Pozostawia deski na mrozie, ślizgiem do cienia (wszystko na czezo) i dopiero teraz wędruje na śniadanie.

Przy śniadaniu uśmiecha się tajemniczo do sąsiadów. Ich sposoby smarowania desek traktuje z uprzejmą wyrozumiałością. Na zapytania odpowiada ogólnie — i tak byś nie nie zrozumiał. Mówi, że niechciałby ci źle doradzić..., że można nawet wysmarować pastą do zębów, ale trzeba mieć wyczucie grubości i oporowości... Gdy ci taki zalecać, doradź mu by se pastą od butów wysmarował co innego, — a banialukom nie wierz. Kto by ci i czemkolwiek, w pierwszych dniach pobytu, deski wysmarował, tak i tak, zawsze go kłąć będziesz całą drogę.

Rowek w nartcie należy smarować cemsem, — co daje największą śliskość... Najlepiej woskiem z grafitem (oh!!!) Wierzeh narty parafiną, by się nie nie czeptało (ewent. do wypróbowania). Po wypieszczeniu desek trzeba je przed zjazdem zamrozić (co za gwałtowna zmiana temperatur. Tak można postępować tylko z deską). Po jeździe ustawie deski dziobem w dół. Ściekająca woda podobno mniej szkodzi nosom, jak piętom nart, które należy więcej szanować (W Japonji myślą o tych piętach zapewne inaczej).

— Wojna dwóch róż. I tak siedzieliśmy w bezsilnym oczekiwaniu śniegu, czas między wykłady, suche zaprawy i mokre dancingi



dzieląc. Narty w kątach, zakurzyły się na dobre. Trudno! Siła wyższa. Wyglądano pomocy z nieba. Co lepsi meteorologowie świadczyli, że ta czy tamta chmura, napewno jest śniegowa. — Tymczasem siła wyższa nie jadła, nie spała — tylko wzajemnie na siebie knowała. O skórę jej szło — tylko nie niedźwiedzią a własną.

Dwóch równie sprytnych właścicieli, założyło w różnych dobrych punktach po jednym dancingu. I tu i tam 5-cio literowa nazwa pociągała gości... Kilkudziesięciu młodych ludzi smaczny było kęskiem dla obu. Rozgorzała pomiędzy nimi zapamiętała wojna, której świadomi byliśmy my. To tu to tam stoliki świeciły pustkami — a u sąsiada stolików brakło. Wysłano posłów do rywala, by zbędne mu stoliki za psie grosze wypożyczył, ale sprytny właściciel, na złościwości się poznał, i posłów przez, stolikową nogą przepędził.

Któregoś dnia jeden z bohaterów wojny, z genealogiczną doniczką do nas wpadł i o widzenie sam na sam z Wędzem prosił. Świadczył się podobno zacną familją i rabina Chodorowskiego na piśmie się wyrzekal.

Jak to było dokładnie nie wiem, bo rozprawa przy drzwiach zamkniętych się odbywała. Wiedziałem jednak, jak Wódz publicznie, jako ten Piłat, ręce w zimnej, a niezbyt smacznej wrochcianej wodzie od spraw tych umywał. Pozostała dla właścicieli ostatnia broń. Pieniądze... Argument stary, jak zło i ludzkość. Zaczęły się wyścigi.

Obaj właściciele zaczęli się liczyć w obniżce cen konsumpcji dla podchor. lotnictwa. Ten obniżył o 25%, drugi tego samego wieczoru o 40%. Czekaliśmy dyskretnie jak się to skończy. Ceny stawały się krępujące. Żołd był sumą nie do puszczenia.

Wszystkim było bardzo miło — Wreszcie Wodzowi się sprzyrzyło. Nie przyszła góra do Mahometa... Gruchnęła wieść wieczorem, że mamy pociągami jechać na poszukiwanie śniegu.

Wici sygnalizowały — śnieg na Zaroślaku.

Nazajutrz o 7-mej rano wsadziliśmy się w tartak na wąskotorówki. Czortopchajka dymiła należycie, świadcząc o swej gotowości do drogi. Konduktor gwiznął z tyłu, — czortopchajka — jakoś grubo i śmiesznie z przodu, — a my, zgodnym gołębiarskim unisono pomagaliśmy odjazdowi ze środka. Coś tam zamarzyło i ruszyliśmy początkowo w tył.



Sarski
Dęblin 1936

chwycił w barkach i szpilkami laził po kolanach.

Wjeżdżaliśmy w zaczarowaną zaśnieżoną krainę z bajki. Po godzinie tego słuchowego kuligu, przemierzłem do szpiku kości. Przystałem się delektować widokami. Nie interesowały mnie przerastające o ćwierć swej długości samotne limby w panujących tu ogólnie lasach świerkowych.

Przystałem źle myśleć o fryzjerze wielkoludzie, co tu i ówdzie swą wielką eksploatacyjną maszynką, po gęsto porośniętych zboczach — niewprawnie i chaotycznie się przejechał, pozostawiając szpetne, niedokarczowane łysiny. Leżał jeszcze na nich plon postrzyżyn — poobcinane z gałęzi pniaki — wyglądające zdaleka, jak złośliwie przez dziecko porozrzucane zapalki. Czekają cierpliwie i jakoś smutnie na swą kolej...

podchor. W. Szyszkowski.

S. P. L. Dęblin, luty 1936.

COŚ O NAS

Pan Kapitan nie taki bracie! Przekonasz się kto będzie miał służbę w stajni jutro. Strzelcy pójdą do stajni a panowie na zabawę. To bracie my akademję przygotowujemy, to się nam należy! — Tak przekonywał swego kolegę Walek. Grał on w sztuce żołnierza niemieckiego, a cała jego gra polegała na tem, by upaść na ziemię i krzyknąć: „Was machen sie hier?“

Rozkaz potwierdził rozmowianina Walka. Szef czytał: „Strzel. z cenz. Śliwka — Służba w stajni, strzel z cenz. . . razem dwunastu. Biedni chłopcy. Taka bycza zabawa zapowiada się w P. C. K. Śni się poprostu winko, jazz, dziewczynki, a tu rzeczywistość: stajnia, koń, taczki, łopata, miotła — zwłaszcza te dwie ostatnie nasuwają dość niewesołe myśli. A Michaś? Na prywatkę miał iść. Co biedaczysko pocznie?“

Minęła zabawa i służba w stajni, a pozostało tylko wspomnienie w postaci za spóźnienie się t. zn. nie ze stajni.

„Akademja“ pracowała zawsze po wykładach popołudniowych, odbywały się próby. Dzień imienin Dostojnego Gospodarza zbliżał się. Dnia 30 stycznia urządzono akademję dla strzelców z pułku 82 a 31 dla rodzin oficerskich i podoficerskich. Na program akademji złożyło się: przemówienie, deklamacje, śpiewy naszego okrytego sukcesami chóru i obraz sceniczny p. t. „U progu wolności“.

Po akademji dea pułku podziękował dey kursu i wszystkim strzelcom z cenzusem za dobrze opracowaną akademję.

„Waluś! skończyły się próby, prawda?“

„Wiesz — Kapitan zadowolony, że akademja dobrze poszła, to my się nie musimy bardzo bać stajni!“

Tym razem rozkaz nie kolidował z rozumowaniem Walusia „Panie szefie proszę wyznaczyć strzelców, którzy brali udział w akademji do służby w stajni i na nową wartę!“ „Rozkaz panie kapitanie“. „A na drugą robotę zmienić grupy, żeby się wszyscy zapoznali z temi służbami“. Walkowi zimny dreszcz przebiegł po grzbiecie i ruszył mu aż włosami (wprawdzie ich niema ale z założenia przyjmujemy, że są). Muszka, która tak podziwiała grę Walka na scenie, w liście zapraszała go do siebie. Co zrobić? Co zrobić?

„Waluś — kapitan nie taki“ — szepnął Śliwka.

Czem jest jednak służba Walka wobec naszej my CKM-y przechodzimy trochę więcej, bo cały tydzień czyścimy konie pod włos i z włosiem. Janek Łapę, Tadek Kalwina, Szymek Dianę. Szymek odkąd czyści Dianę, dużo staranniej się ubiera. Diana młoda — cztery lata, najpiękniejszy okres w życiu... no w życiu konia. Tadek z początku nie mógł się pogodzić z myślą tą, by miał wstawać wcześniej, żeby na czas oczyścić konia. To kapitan umyślnie tak z nami robi. Nauka czyszczenia idzie prędko. Nieodpowiednie ruchy są doraźnie karcone przez „Kalwina“. Koń to mądre zwierze; sam człowieka wszystkiego nauczy. Raz Tadek podszedł za blisko tylnych nóg Kalwina a ten jedną nogą wskazał odległość trzech kroków, tylko, że Tadek znalazł się na tej odległości w pozycji siedzącej i bez czapki.

Trudno! Kandydat na oficera rezerwy musi to przejść.

Strzel. z cenz. St. Kogut

Z MODLINA

Po trzech miesiącach wykszolenia opuścił mury Modlina pierwszy starszy saper. W dniu 14 grudnia przedefilował przed Panem Generałem Szylingiem cały batalion podchorążych, postawą swoją i krokiem potwierdzając słowa przysięgi. Uroczystość zakończył pełen humoru pogrzeb rekruta, a wielkie salony garnizowanego kasyna, długo w noc rozbrzmiewały dźwiękami zabawy.

Okres poświęteczny zaczął się pod znakiem zdwojonej pracy, widne i ciepłe sale Centrum Wyszolenia Saperów wypełniły się szeszelnie.

INTUICJA... PRZECZUCIE... TELEPATJA...

(LUB ZIMOWE MANEWRY)

Heroiczny bój nocny został skończony. Wstawało ponad wsią mętne, niewyspane słońce. Wraz z mgłą i oparami przebiegały przez powietrze lekkie drżenia purpurowe i barwiły spadające kryształki śniegu na kolor krwi. W zmaganiu się światła z ciemnością trwały chwilowe zawieszenie broni — nachmurzone i mroczne. Gdzieś, w perspektywie czasu, wisiał niedokonany jeszcze, a już narodzony — dzień.

Na placu, przed kościołem dymili kuchnie polowe. Smaczny zapach drzewa sosnowego drażnił powonienie stwarzając przecucie bliskiego siorbania... lkania... smakowania i żucia.

— Kakao czy kawa? — starał się zgadnąć Barnaba, chuchając w skostniałe dłonie.

— Jamajka z żółtkami — odpowiedziałem, spoglądając ze współczuciem na wynędzniałą twarz mojego przyjaciela, porysowaną przez mróz w piękne liljowe i granatowe desenie.

— Wiesz, wyglądasz, jak stary nieboszczyk z austriackiej niewoli — dorzuciłem po namyśle.

— Cholera z tym mrozem — syknął dość niedbale i zajął się otrząsaniem szronu z grzywy swojego konia.

Naprzeciwko stała rozbrojona kompanja piechoty, na którą spoglądaliśmy z wyrazem wielkiej sympatii, raczej nawet z liście braterską tkliwością pomieszana z macierzyńskimi uczuciami czułości i miłości.

Był to owoc trzydniowych naszych zabiegów, prawie nieludzkich wysiłków, kiedy zmagając się z czasem, przestrzeżeni i mrozem wyczynialiśmy tysięczne zasadzki, niesłychane fortele, wielokilometrowe zachodzenia i oskrzydlenia, fałszywe alarmy, pościgi szpic i patroli, aż wreszcie dzisiejszej nocy zaskoczyliśmy ich we śnie. Walka była krótka, ale bohaterka — i oto wielki demiurg manewrów — rozjemca, orzekł, że 3 cia kompanja N. pułku piechoty już nie istnieje na świecie, jako siła bojowa. Teraz trwały rozmowy, jak odgłosy zaciągającej burzy.

— Patrz, jakie to miłe, inteligentne twarze — mówiłem do Barnaby, stojąc tuż obok poległej kompanji.

Poległa kompanja zachowywała się bardzo żwawo. Podskakiwała, „zabijała“ dłonie, chuchała, wycierała wdzięcznie nosy palcami, ponuro spoglądając na nas.

— Jak myślisz, dożyją do wieczora na tem mrozie?

— Trzech groszy nie dałbym za nich.

— Szkoda, bo bardzo przyjemne chłopaki.

— To nie chłopaki, to trupy... o patrz, tego malutkiego własnoręcznie dzisiaj zarabiałem.

Malutki obrazik się bardzo.

— Niedoczekanie twoje... psia twoja owsiarna nędza.

Barnaba poczuł się dotknięty.

— Ty... ty, tylko ostrożnie, nie zapominaj, że jesteś niewolnikiem... mógłbym cię do siodła przytroczyć, gdybym chciał.

„Okres właściwy“ dał o sobie znać. Pomimo zawrotnego tempa pracy Modlin nie zaniedbuje pracy kulturalnej. Uroczyste akademje: w dniu Święta Podchorążych, w rocznicę Powstania Styczniowego oraz w dniu Imienin Pana Prezydenta wykazały duży dorobek artystyczno-kulturalny baonu. Batalion posiada własną orkiestrę oraz chór prowadzone całkowicie własnymi siłami.

Ostatnio dużem powodzeniem cieszą się Wieczory humoru urządzane co 2 tygodnie. Pierwszy tego rodzaju Wieczór przyczynił się do uroczajenia dorocznej zabawy baonu w dniu 14 lutego b. r.

— A ja gdybym chciał, tobyś mnie musiał w nos pocałować.

Szarpanąłem Barnabę za rękaw.

— Chodź — powiedziałem — to są chamy cholerne.

Ale Barnaba już się zacietrzewił.

— Skoczybrudzy nieszczesne, a kto przed nami wiał, aż po polach kurzyło?

Cała kompanja wzięła udział w dyskusji.

— Bośmy chcieli sprawdzić, czy „kunie“ macie dobre.

— Nie myśmy przegrali, tylko wasze chabety wygrały.



— Szkapę macie mądre, ale wy jesteście głupie.

— Ach, wy zające zatracone — oburzał się Barnaba — wojnę żeście przegrali i jeszcze się mądrzycie.

— Chłopaki — krzyknął jakiś ogromny piechur — uważcie tę gębę zakazaną... tę tyczkę grochową... my mu jeszcze damy bobu.

Ledwo Barnabę oderwałem od tej zajmującej rozmowy. Cały gorzał oburzeniem i animuszem.

— No i poco ich zaczepiasz? — zrzędziłem — po pierwsze nie wypada znęcać się nad pojmanym wrogiem, po drugie jest wojna... niech cię gdzie przyskrzynią, to gnatów nie zbierasz.

— A ja bimbam — odgrażał się — pludry prędzej pogubił!

Zaraz po śniadaniu rozdzielili nas losy. Barnaba na czele patrolu bojowego N3 pojechał w południowe lasy, a ja, jako dowódca składnicy meldunkowej N5 udałem się bar dziej na wschód.

Mijałem po drodze rozległe, ośnieżone pola. Senne, nieruchome wsie. Zamorusane dzieciaki wybiegały przed chaty, szczerkały psy — a potem znów cisza i tylko kiwające się, zielone lasy na horyzoncie, tylko ostro i przyjemny zapach końskiego potu, tylko ciche rozmowy ullańskie.

Przedemną, gdzieś daleko posuwał się szwadron jako oddział przedni straży przedniej brygady, za mną, gdzieś również daleko maszerowała brygada, a tam — hen, za lasami, za horyzontem był jeszcze niesłyszalny i niewidzialny wróg. Jak rozkaz opiewał, zatrzymałem się na skrzyżowaniu dróg obok małej, dziwnie cichej wioski.

Wśród starych lip i wysokiego parkanu jakiegoś dworu było bardzo zacisznie i jakby cieplej. Wykombinowałem niezwłocznie dla siebie i moich 12-tu „ludzi” trzy czajniki gorącego mleka, które wspaniale smakowało z pachnącym, razowym chlebem.

W niedługim czasie, zaczęli wpadać gońcy na spienionych koniach. Luzowałem gońców i konie i nowi gońcy na świeżych koniach pędzili dalej — do dalekiego szwadronu.

Potem ukazały się poszczególne człony straży przedniej i wreszcie przedelfowała przedemną cała brygada. Trzy pułki Ludzie, konie, c. k. m.-y, szwadrony linjowe, taczanki, łączność, dywizjon artylerji konnej, amunicja, tabory, sanitariusze, kuchnie.

Od salutowania spuchła mi ręka. Co chwila, jakaś szarża przywoływała mnie do siebie.

— Co tutaj robicie?

— Składnica meldunkowa N5.

— Aha... — niedbale machnięcie ręką i dalszy marsz przed siebie.

Kilka razy było ogromne wymyślanie, że źle stoję, zamato jestem ukryty, dostrzeże mnie lotnik — wtedy cofałem się, później znów, że za bardzo jestem ukryty, że żaden go nie mnie nie znajdzie — wtedy stawałem ze składnicą na starym miejscu. W wojsku, jak w życiu, trudno jest wszystkim dogodzić, zwłaszcza, kiedy ludzie są niewyspani i zmarnięci.

Jakoś w godzinę po przejściu brygady posłyszałem bardzo dalekie, jakby niezdecydowane, pojedyncze strzały karabinowe, potem słychać było krótkie serie r. k. m.-ów. To już zetknęły się straże przednie. Trochę później zaczęły grać c.k.m.-y i całe salwy k.b.k., aż wreszcie zagrzmiął potężnym basem armaty. Bitwa rozpoczęła się na dobre.

Pomimo całej świadomości, że to tylko manewry zimowe, że krew nigdzie się nie leje, że wszystko odbywa się „na niby” — odgłosy takiej nawet, nieprawdziwej bitwy robią wstrząsające wrażenie i trudno jest ustać na miejscu. Chciałoby się pędzić naprzód, krzyżeć, walczyć — to też rad byłem, kiedy odgłosy te zaczęły się oddalać, niknąć, milknąć, aż wreszcie zacięły zupełnie. Oczywiście, nie wiedziałem co się stało, czy bój został wygrany, czy przegrany, czy może tylko przeniosł się dalej. O nakazanej godzinie zwinąłem składnicę i ruszyłem przed siebie, ubezpieczając się, jak należy, gdyż sytuacja była niejasna.

Po kilku kilometrach zupełnie spokojnej drogi, szperacze dali mi znać, że na skraju wsi, pod wiatrakami, znajduje się jakiś podejrzany oddział kawalerji. Okazało się, że był to mój kolega, podch. Hipek, zwany „warjatem”, na czele całego plutonu.

— Hipek — krzyknąłem uradowany — co ty tutaj robisz?

Hipek, ogromnie również ucieszył się.

— Jestem szpicą oddziału przedniego straży przedniej — zakomunikował mi nadzwyczaj poważnie.

— Dobrze... ale kogóż ty ubezpieczasz... przecież za mną już nikogo nie ma?

Wzruszył smętnie ramionami.

— Cholera wie co się tutaj stało... jeszcze w lesie szedł za mną szwadron... za szwadronem pułk, za pułkiem bryga-

da... potem nastąpiło jakieś straszliwe zamieszanie... szwadron mi przepadł, potem pułk, potem cała brygada i nie wiem, gdzie to wszystko podziało się.

— Pocóż więc tutaj tkwisz?

— Przedpole niebezpieczne — machnął okrągło ręką — była jakaś zasadzka .. z lewej strony pod lasem coś się kręciło.

— Trzeba było zbadać.

— Posłałem patrol... nie wraca.

— Hm, niedobrze — mruknąłem — ale ty, bracie, dostaniesz wciągnę... ładnie ubezpieczał brygadę.

— Przepadłem — jęknął — jakieś czary... wszystko przepisowo wykonałem i patrz... — spojrzał na mnie z męką.

W niedługim czasie powrócił patrol. Pod lasem wszystko w porządku. Nikogo niema, tylko trochę wystrzelonych łusek karabinowych.

— Ty ruszaj pierwszy — zaproponowałem Hipkowi — bo i tak nie masz do stracenia... jak dojdiesz do tego wzgórza, dasz mi znak, wtedy ja ruszę.

Hipek taki był zrezygnowany, że najspokojniej w świecie, nie ubezpieczając się i nie rozczłonkując, pojechał otwartą drogą nawprost i dotarł w najlepszym porządku do wzgórza, które przykrywało od lasu. Dzieliło nas, jakieś blisko 1000 mtr. Uspokojony, co do bezpieczeństwa drogi, na wszelki wypadek rozrzuciłem swój oddziałek w linję harcowników i beztrósko, stępem, aby koni nie męczyć ruszyłem przed siebie. Na połowie drogi rozpruła powietrze wściekła salwa karabinu maszynowego, potem druga. Taki byłem zdezorientowany, że nawet nie zdziwiłem się, kiedy z lasu wyjechał rozjemca w białej przepasce na czapce. Podał mi znak ręką na „stój” Stałem.

— Z koni! — wrzasnął podjeżdżając — cały oddział jest zniszczony przez karabin maszynowy... spieszyć się na trzy godziny i wracać pod młyn.

— Panie kapitanie, przed chwilą przeszedł cały pluton i nie został ostrzelany.

— A cóż to do ciężkiej cholery, może podchorąży będzie rozkazywać nieprzyjacielskiemu karabinowi do kogo ma strzelać?

Położyłem uszy po sobie i okropnie rozgoryczony, prawie ze łzami w oczach, powróciłem, w wodzach, pod przekłętą młyn. Po drodze pogroziłem kulakiem Hipkowi Warjadowi. Taki to ma szczęście.

Po trzygodzinnym okresie niebytu, który wraz z ullańskimi spędziłem w ciepłej chałupie młynarza, postanowiłem nie ścigać już pułku nawprost, tylko według mapy, okólną drogą poprzez lasy. Lepiej djabelnych karabinów maszynowych drugi raz nie kusić.

W lasach było cicho i poważnie. Trochę mrocznie i trochę samotnie. Pachniało jedliną. Z gałęzi osypywały się białe puchy. Konie poparskiwały i wzdychały. Byłoby nawet bardzo przyjemnie, gdyż mróz znacznie zelżał, gdyby nie pamięć niedawnej porażki. Jechałem wypełniony najbardziej ponuremi myślami o swojej osobie, o zdolności dowodzenia i mojej przydatności wojskowej!

Zgodnie z mapą na niewielkiej porębie była gajówka. Stało przed nią kilka osiadłych koni. Zarządziłem szarżę i kiedy nigdzie nie widząc wroga, wpadłem z trzaskiem przez drzwi, zostałem olśniony niesłychanym widokiem:

Przy stole, nakrytym, haftowanym w kwiatki obrusem, siedział Barnaba, obok z jednej strony Stasiak Mogiła, a z drugiej Feluś Minoga i zaterali z olbrzymiej mchy jajejecznicę z kiełbasą. Pachniało tak cudnie, że aż zachybotalem się na nogach i musiałem oprzeć się jedną ręką o ścianę. Przy stole krzątała się dorodna, nieprzymierzając po staropolsku, jak łania-dziewucha, przynosząc i odnosząc jakieś talerze.

— Coś mi się zdaje, że tutaj ktoś z byka spadł? — wypowiedział Barnaba sepleniąc, gdyż miał usta wypchane jajejecznicą ponad wszelką możliwość.

— Możebyś lepiej drzwi zamknął, bo zimno wpada — dodał spokojnie Mogiła

— Co, wódkę też piliście? — zapytałem zdumiony, wieszając słodki aromacik.

— Nie... wylewaliśmy za kołnierza — odpowiedział Minoga sięgając ręką pod ławkę i później oglądając butelkę pod światło — nawet dla ciebie cośniesz zostało.

— Skąd wiedzieliście, że tutaj będę?

— Intuicja... przecucie... telepatja! — wyjaśnił Barnaba. Za chwilę siedziałem razem z nimi obżerając się i pijąc.

— Co to za dziewczuszka? — zapytałem szeptem Barnabę widząc jego rozaniolony wzrok.

— Gajowicha — szepnęła nie spuszczać z niej oczów.

— A gajowy gdzie?

— W kryminale... za kłusownictwo.

— Markierujecie niegodne syny ojczyzny?

— No cóż? — rozmyślał w głos Mogiła — wojnę wygraliśmy... wróg pierchnął w popłochu... wojownicy cieszą się z zasłużonego odpoczynku... cała armja na leżach, po wioskach, a my tutaj.

Barnaba coś jeszcze szeptał z gajową po kątach, a myśmy rozprawiali o przebiegu dzisiejszej bitwy i losach wielkiego zwycięstwa.

Wracając do naszego szwadronu, który kwaterował wszystkiego o jakieś dwa kilometry, zaszarżowaliśmy najniepotrzebniej w świecie naszych własnych taborytów, sądząc w zmięczeniu, że to jest nieprzyjacielska piechota.

Byłoby z tego grubsza awantura, ale zdążyliśmy szczęśliwie zwiąć. Potem było mnóstwo roboty, jak to zwykle przy kawalerji. Moją zacną i wierną „Katedrę” musiałem opoznać, napoić, nakarmić, wyczyścić, a i rzad i broń trzeba było przejrzeć, potem wysłuchać lekkiej odprawy rotmistrza i przykraj admonicji szefa za jakąś rozrzutność z owsem i sianem, wreszcie, niedługo po capstrzyku zakopałem się w niebardzo wygodnej, chłopskiej stajni w słomę, przykryłem dwoma kocami pachnącymi nawozem i potem końskim, co uważam za najprzyjemniejsze na świecie zapachy i właśnie zaczynałem zapadać w drzemkę, po której miał przyjść mocny, krzepiący sen, kiedy stanął nademną Barnaba.

— Słuchaj — szepnęła — w razie czego zwróć uwagę na mojego rumaka... ja idę.

— Gdzie idziesz? — zapytałem dość sennie.

— Do gajówki.

Odrązu zbudziłem się.

— Oj, byku... byku — przestrzegałem — jeśli się wyda, marne będą twoje widoki.

— Nie wyda się — mruknął lekceważąco — znam boczną drogę.

— A jak będzie alarm?

— Ciuci na muniu! — odrzekł stukając palcem w czoło — po tylu dniach mordęgi i niedospania... i po generalnem zwycięstwie?

— No, dobra jest — odpowiedziałem przekonany — idź, tylko patrz, żeby ci gajowy giczołów nie poprzetrzącał... a jakby w razie czego, zaszyj się w siano... powie się, żeś zasnął.

W niepewnym świetle naftowej latarni odniosłem wrażenie, że ten lajdak pokazał mi język, poczem wielki cień na ścianie zachybotał się, bezradnie zachwiał i znikł, a po chwili znikł cały świat. Zasnąłem, jak kamień.

Kiedy zbudziłem się w niepewnym świetle tej samej latarni, znów stał Barnaba, ale okropnie zmieniony. Dziki wzrok, rozchylony płaszcz, pod płaszczem tylko bielizna. W jednej ręce dźwigał buty, w drugiej bluzę i spodnie. Bose nogi były sine i pokrwawione.



Zerwałem się na równe nogi.

— Babuś... robaczku drogi... kto cię tak oporządził?

Jakiś czas dyszał ciężko, a potem zaczął rzezić:

— Leć w tej chwili do rotmistrza... pełne lasy piechoty... wali cała dywizja ledwo zwiąć z gajówki... a na przedzie ten malutki i ten wielki zające, cośmy ich zrana do niewoli wzięli... daliby mi łupnia, tylko nic nie wiedzą... pod słuchałem... cały pułk odpoczywa w gajówce... za godzinę tutaj będą... ma być zaskoczenie całej brygady... ani chwili do stracenia.

To powiedziawszy przewrócił się, a ja już nie dążąc z naciąganiem butów, bosi i tylko przykryty kocem popędziłem do rotmistrza.

Nie minęło pięciu minut, kiedy poszły na całą brygadę telefony. Zaterkotały brzęczyki, zadzwoniły dzwonki, poleciały meldunki i rozkazy. Za dziesięć minut rozległy się lekkie hałasy, przyciszzone gwizdki, urywane komendy. Ktoś krzyknął, ktoś zaklął. Za pół godziny brygada była w marszu, na nowe stanowiska bojowe, skąd miało pójść ostateczne zwalczanie przeciwnika.

Na drugi dzień, kiedy Barnaba był przedmiotem wielkiego podziwu i niesłychanych owacyj, jeden z naszych instruktorów, jadąc obok, mówił:

— Nie mogę swoją drogą, zrozumieć po jaką wielką cholerę łąził podchorąży po nocy, w stronę tej gajówki?

— Wiersze czasami lubię układać, panie poruczniku — odrzekł skromnie Barnaba.

— A ja myślę, panie poruczniku — dodałem — że to coś w rodzaju intuicji... przecucia... telepatji.

— Tak... bardzo tajemnicza historia! — potwierdził porucznik.

Po kilku dniach, już w Szkole siedząc na łózkach, smarowaliśmy sobie nogi gęsim piórkiem maczanem w gęsim szmalcu.

— Bardzo fajna rzecz takie zimowe manewry — twierdził Barnaba — tylko, że sobie, przez bohaterstwo, odmroziłem nogi, gorzej od najgorszego z zajęców.

Adam Ostoja.

Andrzej Bohomolec. Wyprawa jachtu „Dal”. — T-wo Wydawnicze „Rój”. Warszawa 1936.

Wyprawa cała miała swe źródło w tej niespodziewanej i z siłą wybuchającej tęsknocie morskiej. Wystarczyło kilku ćwiczebnych podróży jachtowych, aby w duszach trzech młodych ludzi wzbudzić namiętne pragnienie do jakiejś wspanialszej, bardziej emocjonującej trudami i niebezpieczeństwem podróży morskiej. Inicjator jej, porucznik 26 pułku ułanów z Baranowicz Andrzej Bohomolec, dobrawszy równie jak sam, zapalonych entuzjastów morza, wyszukawszy jakiś stary i zaniedbany jachcik, decyduje się na jego pokładzie odbyć podróż do Ameryki przez rozległe wody Atlantyku.

Śmiała wyprawa na słabej łodzi mogła zażywać rozkoszy silnych wrażeń w ilości najzupełniej dowolnej. Już podróż przy brzegach Europy dostarczyła młodym żeglarzom wielu emocji i kłopotów, co prawda błędną one wobec kilkodniowego cyklonu jaki młotał przez kilka dni swobodnie „Dalą” na Atlantyku. Opis przeżyć z tych koszmarnych dni zyskał na wyrazistości przez zacytowanie krótkich, lapidarnych wyciągów z dziennika okrętowego.

„Już drugi dzień nie nie jedliśmy, powoli przygnębienie znów nas ogarnia. Woda stale wciska się przez właz, skajlajt, sięga wyżej podłogi...” „Znowu silniejsze uderzenie — przechył ponad 90°. Woda wlewa się przez właz, znowu tłuczemy się dotkliwie. Nadbudówka zgnieciona, płótno na niej miejscami zerwane, woda wieka przez włazy, przez szpary, strumyczkami. Sytuacja jest beznadziejna...” Cztery doby bez jedzenia, picia i snu przyniosły żeglarzom gruntowne zniszczenie jachtu, tyle, że trzymał się jeszcze na powierzchni wody i przy pomocy resztek masztu usiłował żeglować. Gdy po 42 dniach podróży przybyli żeglarze na Bermudy, „Dal” wyglądała jak parodia jachtu.

Pobyt na Bermudach i przejazd do Nowego Jorku, to już mniej emocjonujące fragmenty książki, które znów stają się szczególnie interesujące gdy opisuje entuzjastyczny i tryumfalny przejazd „Dali” siecią wodną śródlądową na wszechświatową wystawę do Chicago i te żywiołowe manifestacje, jakie naszym żeglarzom urządziła ludność polska wzdłuż całej trasy ich przejazdu. Charakteryzuje to zarówno serdeczny patriotyzm naszej Polonii amerykańskiej, jak i jej liczebność.

Książkę por. Bohomoleca czyta się jednym tchem. Pozbawiona sztucznych upiększeń literackich, pisana prostym, żołnierskim językiem, daleka od jakiegokolwiek pretensjonalności wywiera na czytelniku silne wrażenie i mimowoli, sugestywnie zwraca jego myśl ku morzu i sportom morskim, zwłaszcza, że na zakończenie autor podaje szereg doskonałych uwag dotyczących żeglarstwa morskiego. Dobra książka, o brawurowym wyczynie sportowym naszych żeglarzy powinna znaleźć się w spisach wszystkich bibliotek podchorążackich.

Fr. Antoni Ossendowski — Nauczycielka. — Wydawnictwo Polskie. R. Wegnera. Poznań 1935 r.

Jak każdy płodny autor posiada Ossendowski w swym dorobku pisarskim pozycje wybitniejsze i słabsze. Do rzędu tych ostatnich należy „Nauczycielka”, co jednak nie znaczy bynajmniej by nie czytało się jej z prawdziwym zainteresowaniem. Talent pisarski pokrywa tu pewne luki kompozycyjne treści.

Młoda dziewczyna, Halina Olmieńska kończy seminarjum nauczycielskie i wyjeżdża do szkoły na odległą wieś poleską. Energiczna nauczycielka potrafi zdobyć sobie serca i życzliwość nieufnych naogół polezłaków i zaczyna prowadzić wśród nich z dużym powodzeniem akcję kulturalną i oświaty obywatelskiego. Codzienną pracą w szkole i we wsi przerywa nagle młodej dziewczynie powrotna fala namiętnej miłości do pięknego lekkoducha hrabiego Zdzisława.

Miłość ta równie gwałtowna, jak krótkotrwała wzbogaca przeżycia nauczycielki w gorycz zawodu życiowego, z którego silnej depresji ratuje ją prosta miłość młodego polezłaka otwierającego przed nią drogę nowego życia.

Jak już zaznaczaliśmy, wiele w tej powieści jest łatwizn kompozycyjnych, ale nikną one wśród wyjątkowo pięknych, z głębokim odczuciem odtwarzanych opisów prostej i surowej przyrody poleskiej, która pod piórem Ossendowskiego odświeża swój dziwny i swoisty czar.

Samolotami nad Everestem. — Wyprawa lotnicza w roku 1933. P. F. M. Fellowes, L. O. Stewart Blaker, P. F. Etherton, M. P. Clydesdale, Geoffrey Barhas — z przedmową Johna Buchana. Przełożył z angielskiego Dionizy Kostecki. Warszawa 1935, Główna Księgarnia Wojskowa.

Ta ciekawa i pięknie wydana książka, ozdobiona licznymi ilustracjami, to dzieje słynne na zachodzie, a u nas mało znanej wyprawy samolotami nad Everestem, dzieje zuchwałego, wspaniałego lotu, który w sumie nie trwał nawet sześciu godzin, lecz dokonanie, którego wymagało nietylko precyzyjnego poprostu obmyślenia, ale także wielu miesięcy wytężonej pracy. Był to lot w całym znaczeniu tego słowa pionierski, było to zwycięskie pokonanie bardzo wielu niebezpieczeństw, choć celem wyprawy nie było ani dokonanie jakiegoś zuchwałego wyczynu, będącego dowodem niezwyklej wytrwałości i niezwyklej odwagi, ani pobicie rekordu, ani wreszcie zdobywanie czegoś poraż pierwszego. Cel był naukowy. Chodziło mianowicie o wykazanie, że przy pomocy samolotu i aparatu fotograficznego do zdjęć powietrznych dadzą się uzyskać dane naukowe, niemożliwe do osiągnięcia na żadnej innej drodze. Lecz wynik wyprawy stał się wielkim dziełem. Przeszedł on najsmielsze oczekiwania i jest bez przesady wspaniałym i takim już w historii pozostanie.

Opis przygotowania i całej pracy, opis życia w czasie tej pracy, szczególnie w Indiach (rozdziały: „Lot do Indji”, „Nepal”, „Życie w Purnea”) wreszcie opisy „samych lotów mają walory niezwykle, a w bardzo wielu ustępach świeży, chciałoby się rzec nowy czar jeszcze niedoznany. Ta prawdziwa, a przecie fantastyczna opowieść będzie miała w wszelką pewnością całe rzesze polskich czytelników, bo nie została napisana ani dla naukowców-specjalistów ani tylko dla lotników, lecz umiejętnie i szczęśliwie poprostu dla wszystkich.

Z. Kleszczyński. Za barjerą Pirenejów. Rój. Warszawa 1936 r.

Jedno z dwojga, albo świat jest zbyt często widownią burz politycznych w różnych krajach, albo ja mam wyjątkowego pecha — gdy miałem pisać o reportażu Wrzosa z rewolucji Venizelosa to akurat dokonano zamachu stanu w Grecji. Ziemia jest okrągła — wrażenia z Chin, Mandżurji i Japonji zbiegły się z żywszą akcją wojenną na Dalekim Wschodzie, a gdy dziś mam przed sobą wrażenia z podróży po Hiszpanji nadchodzą wiadomości o wstrząsach jakie ten kraj przechodzi.

Idąc jednak za wzorem autora, który jadąc do kraju walk byków i Carmeny wyrzucił z pamięci daty i nazwiska, wszystkie zasłyszane i przeczytane opinie i sądy (Samossier jednak przypomniał) wyrzucam również refleksje, które aktualne wypadki polityczne nasuwają.

Pewność siebie z jaką Kleszczyński we wstępie określa siebie jako artystę nasuwa podejrzenie, że jest on albo grafomanem albo rzeczywiście artystą, lecz, że jedno nie wyklucza drugiego, powiem inaczej nie jest grafomanem będąc artystą.

Może kogoś drażnić jego subiektywizm w ocenie i ujmowaniu zjawisk, ta wspomniana już pewność siebie, która bije nawet ze słów mających być wesołą autokrytyką.

Może razić to uważanie siebie za pepek świata, które każe czytelnikowi zwrócić uwagę na Filipa II, bo podobnie jak i autor chorował na ischias. Żart. Oczywiście, lecz żart, który maluje charakter i nastrój autora.

Można się denerwować, zżymać, a jednak trudno czytając nie podziwiać i nie delektować się swobodą wypowiedzenia myśli i uczuć, lekkością dowcipu, istic kobiecą zdolnością przeczucia się z tematu na temat, zdolnością bardzo pożądaną właśnie w opisie wrażeń z podróży, nowoczesnością stylu i języka, nowoczesnością, która uniknęła zachwaszczeń i wykoszlawień.

Umie Kleszczyński odczuwać piękno, umie je znaleźć i przeżyć. Tego piękna w Hiszpanji szukał i znalazł je i w ludzkiej rycerskim ognistym, barwnym i w okrutnych igrzyskach—walce byków, w budowliach, zabytkach, przyrodzie i dlatego opuszczał Hiszpanję jako jej entuzjasta.

Przypomina mi się pewien feljton Kleszczyńskiego, w którym zwierza on się z kłopotu jak dogodzić wszystkim czytelnikom — gdy jedni chcą radości i wesela, drudzy nagiej, okrutnej prawdy. Mam wrażenie że twórczość Kleszczyńskiego jeszcze zyskałaby wiele gdyby zechciał on właśnie mniej się podobać publiczności, a więcej pisać dla siebie.

No, ale czy można artyście stawiać wymagania? W. B.

William Bragg. Światło. Nakładem „Mathesis Polskiej”, Warszawa, 1936.

Jako tom dziesiąty skolei w zbiorze wydawanych przez Zastaloną „Mathesis Polską” książek z dziedziny nauki i techniki ukazało się dzieło Sir Williama Bragga „Światło”. Znakomity uczonej angielski, dyrektor Royal Institution i laureat Nobla jest jednocześnie jednym z wybitniejszych popularyzatorów, umiejących mówić w sposób przystępny i barwny o najściślejszych zjawiskach fizycznych. Nie jest to suchy podręcznik optyki, ale zbiór zajmujących szkiców, doskonale zaznajamiających czytelnika z jednym z najpiękniejszych i najważniejszych działów fizyki. Dzieło Bragga nie jest przeznaczone dla specjalistów, aczkolwiek i oni potrafią z niego zaczerpnąć wiele nowych rzeczy. Przeciwny czytelnik zostaje wprowadzony przez autora w zupełnie nowy, olśniewający ciekawy świat ścisłych pojęć fizycznych, tłumaczonych na podstawie częstokroć najcodzienniejszych zjawisk. Weźmy dla przykładu rozdział o barwach nieba lub morza. Kogo te kwestje nie muszą interesować, jeśli naturalnie zwraca się uwagę na otaczającą nas naturę. Albo tak powszechnie znane zjawisko jak połysk materiałów. Ten ustęp napewno zainteresuje szczególnie kobiety.

Książka Bragga jest wyjątkowo cennym układem w naszym księgozbiore naukowym i napewno zyska zastaloną popularność. Musimy stwierdzić, że należy się jej całkowicie. Jak wszystkie wydawnictwa „Mathesis Polskiej” ukazała się w bardzo pięknej szacie zewnętrznej i została wyposażona mnóstwem doskonałych i pouczających ilustracji. Sm.

W. J. Locke. — Tajemnica Mateusza Lanyona a Tow. Wydawnicze „Rój” — Warszawa 1936 r.

Locke jest obecnie jednym z najpoczytniejszych autorów angielskich. Posiada on zdolność łączenia powikłanej, a więc tembardziej interesującej intrygi z niezwykłą prostotą stylu i konstrukcji powieści. W powieściach Locke’a nie należy doszukiwać się głębszej treści, zagadnień społecznych czy też szerszych horyzontów myśli. — Czytelnika polskiego razi nieraz płytkie moralizatorstwo, tak często spotykane w powieściach angielskich. — Jeśli jednak potraktujemy tę książkę jako lekki „romans” — przeczytamy go z przyjemnością i wielkim zainteresowaniem, które zapewnia nam bezprzeznaczny talent narracyjny autora.

Bobaterem „Tajemnicy Mateusza Lanyona” jest młody lekarz Sylwester Lanyon wdowiec, zakochany w Elli Defries bogatej wychowawcy jego ojca Mateusza. Dowiedziawszy się o zdradzie swej zmarłej żony Sylwester, zniechęcony do ludzi porzuca Ellę do której zbliża się niebieski ptak — Roderyk Usher. W przeddzień ślubu Roderyka z Ellą wychodzą na jaw oszustwa Roderyka, który zostaje aresztowany z polecenia Sylwestra. Okazuje się jednak, że Roderyk jest bratem Sylwestra gdyż matka ich, żona Ushera uciekła od niego i żyła z Mateuszem Lanyonem. — Po jej śmierci stary Usher szantażował Mateusza, wyciągając odeń pieniądze pod groźbą skandalu. Mateusz wstrząśnięty wieścią o oszustwie Roderyka i dowiedziawszy się o ujawnieniu swej tajemnicy — umiera.

Powieść kończy się oczywiście „happy end’em” — Roderyk uwolniony przez Sylwestra wraca na drogę cnoty, Sylwester żeni się z Ellą, która przebacza mu jego pierwsze zerwanie. — Powieść kończy głęboka, pełna optymizmu uwaga Elli — „Świat jest wspaniały” — Sure!

UŚMIECHNIJ SIĘ

DROGA SŁUŻBOWA

Kapitan do wachmistrza:

„Jutro będzie zaćmienie słońca, co się nie zdarza codziennie. Każcie wyruszyć ludziom o godz. 5-ej rano w zwykłym codziennym ubraniu. Niech zobaczą to rzadkie zjawisko, które potem wytłumaczą. Jeśli będzie padał deszcz nic nie będzie można widzieć i ludzie pozostaną w sali.”

Wachmistrz do plutonowego:

„Na rozkaz kapitana jutro o 5-ej rano będzie zaćmienie słońca w codziennym ubraniu. Pan kapitan da wam po ćwiczeniu wytłumaczenie, że to się nie zdarza codziennie. Jeżeli będzie padał deszcz, nic nie będzie widać i zjawisko odbędzie się w sali.”

Plutonowy do kaprała:

„Z rozkazu pana kapitana jutro o 5-ej rano odbędzie się przedstawienie zaćmienia słońca przy pełnym ćwiczeniu. Pan kapitan da w sali wytłumaczenie tego rzadkiego zjawiska. Jeżeliby padał deszcz, to się nie wydarza codziennie.”

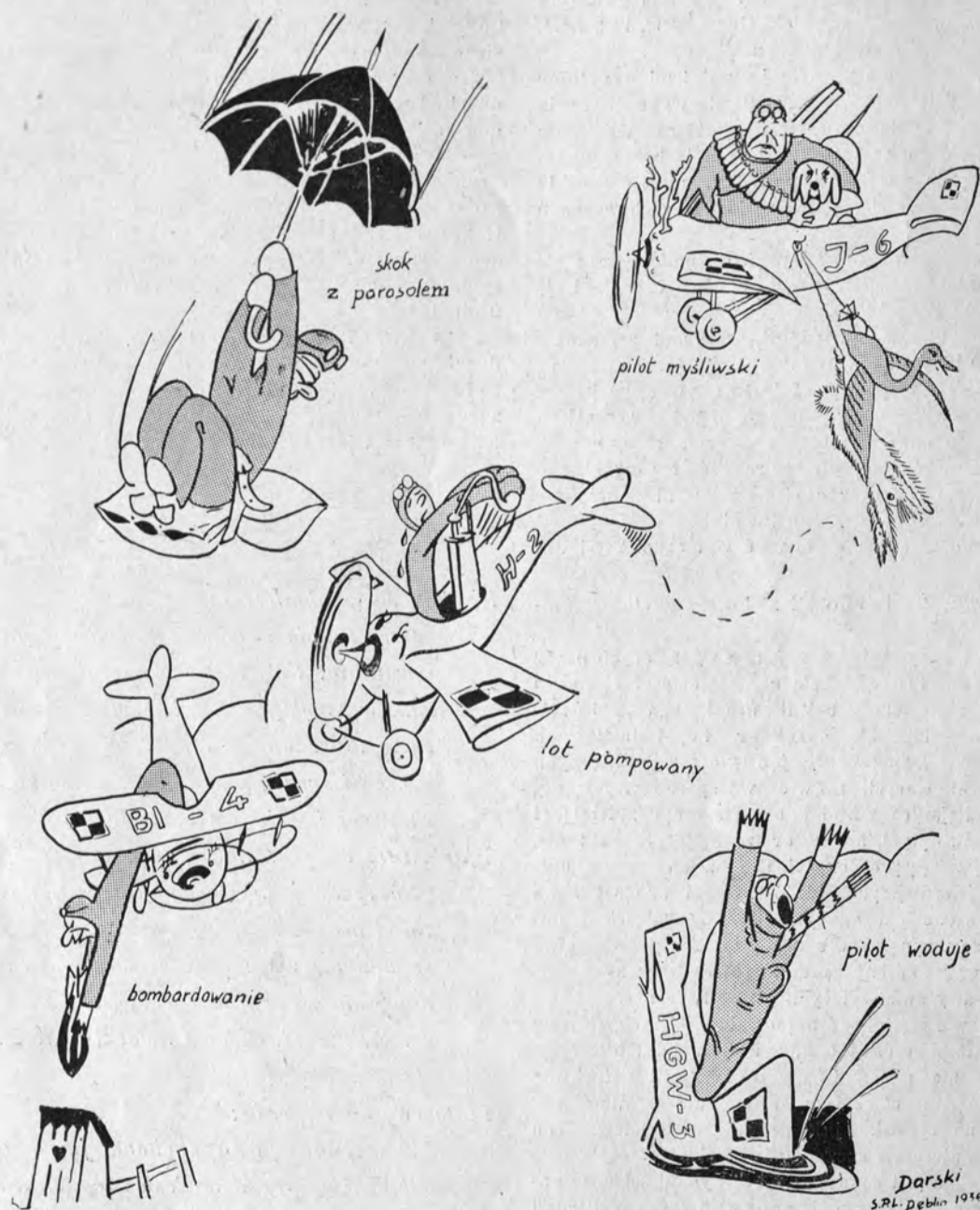
Kapral do żołnierzy:

Jutro o 5-ej rano pan kapitan słońce w codziennym ubraniu z wytłumaczeniem. Jeżeli będzie padał deszcz, to rzadkie zdarzenie odbędzie się w sali.”

Żołnierze między sobą:

„Jutro o 5-ej rano słońce w pełnym ćwiczeniu zaćmi pan kapitan w sali z wytłumaczeniem. Jeżeli będzie deszcz, to rzadkie zdarzenie odbędzie się w codziennym ubraniu, co się nie zdarza codziennie.”

Gwara lotnicza w pojęciu laika



Redaktor Naczelny:
podechor. TADEUSZ ŻENCYKOWSKI
Zastępca Redaktora: podechor. J. SZPER

Sekretarz Redakcji: podechor. W. BRODZIKOWSKI
Kierownik artyst.: podechor. A. SIEMASZKO
Kierownik Administr.: podechor. H. JANCZEWSKI

Adres Redakcji: Warszawa, Smolna 26/28. Administracji: W-wa, Nowy Świat 23/25 W. I. N. O.
Konto P. K. O. 26.720.

WYDAWNICTWO WOJSKOWEGO INSTYTUTU NAUKOWO - OŚWIATOWEGO.

Redakcja rękopisów nadesłanych nie zwraca.
Redakcja zastrzega sobie prawo dowolnego wykorzystania nadesłanych artykułów i fotografii, jak również prawo zezwalania na ich przedruki.

REDAKCJA: podechorążowie i szeregowi z cenzurem: W. Bieliński, J. Błażejowski, H. Bzyl, J. Dostatni, K. Duszyński, M. Epstein, W. Fachinetti, S. Fiszer, S. Frontczak, A. Górski, S. Gutowski, R. Gürtler, Z. Janiga, J. Kierst, Z. Kmita, S. Kogut, S. Kołt, M. Koterba, E. Kotkowski, J. Kosiński, T. Królicki, B. Kucharski, J. Kozielowski, S. Lax, A. Leszczyński, Z. Łaguna, T. Machajski, K. Michalski, W. Milczarek, M. Mokrski, B. Nuszkowski, M. Palmarczuk, E. Pankiewicz, W. Skoczeń, B. Skraba, A. Staszewski, Strykowski, K. Szychowski, W. Szyszkowski, C. Tarnowski, J. Teter, J. Tułasiewicz, J. Wortman, T. Wyszowski, W. Zacharjasiewicz, Z. Zajączkiewicz.

Prenumerata: kwartalnie 3 zł., miesięcznie 1 zł., egzemplarz pojedynczy 50 gr.

Druk. „SPOŁECZNA”, Pl. Grzybowski 3/5, tel. 205-80.